ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPÓŁECZNY



REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA.
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

No 14
WARSZAWA
DNIA 6 KWIETNIA 1913 R.

Francuskie „Dzieje grzechu".

Piotr Ambroży Franciszek Choderlos de Laclos napisał jeden tylko romans (a działo się to pod koniec XVIII stulecia), ale ten jeden romans zapewnia mu nieśmiertelność: Mówimy o „Niebezpiecznych związkach" (*„Les liaisons dangereuses"),* przełożonych znakomicie na polski język przez autora świetnych *„Igraszek kaberetowych"*, przez Boy'a. „Niebezpieczne związki" powinny były oddawna zajmować pierwszorzędne miejsce w literaturze naszych przekładów. Brak ten został zapełniony dopiero teraz. Zwracamy na wypełnienie tej luki uwagę inteligentnego ogółu polskiego.

„Les liaisons dangereuses" to jedno z arcydzieł literatury europejskiej. Gdy ta wspaniała powieść ukazała się w handlu księgarskim poraz pierwszy, a było to w r. 1782, czyli akurat przed stu trzydziestu laty, otoczyła ją we Francji taka wrzawa, jaką wywołały u nas „Dzieje grzechu".

Nie porównywamy tych dwuch rozmaitych romansów, porównywamy jedynie charakter sławy, z jaką obydwa weszły w świat.

Sława obydwuch tych książek miała w sobie bardzo wiele pierwiastków skandalu i imię obydwuch pisarzy niosła na spienionym grzbiecie wyzwisk fala oburzenia, zderzająca się, zresztą, potężnie z falą uwielbień. Ale tu się kończy podobieństwo dzieła Żeromskiego do dzieła Laclos'a. Gdy Żeromski jest czystej krwi lirykiem, lirykiem wprost zapamiętałym, to znaczy nie panującym nad wylewem własnych uczuć, o „Niebezpiecznych związkach" Choderlosa de Laclos'a Baudelaire powiedział słusznie: „Ta książka, jeżeli parzy, parzyć może jedynie nakształt lodu". „Niebezpieczne związki" zostały napisane przez genialnego analityka duszy ludzkiej, który otwarcie z morałem wtrąca się do swoich bohaterów dopiero na ostatnich kilku stronicach i to wtrąca się niechętnie, zdawkowo, dla *decorum*. Laclos nie „opiewa" heroin i herosów swojej imponującej powieści, on ich bez drgnięcia powiek demaskuje. Bez drgnięcia powiek, to znaczy bez oburzenia, przynajmniej bez oburzenia krzykliwego. Laclos nikogo od siebie, z autorskiej loży, nie potępia. Oszustów, wyzyskiwaczy, łotrów potępiają same fakty, niejako bez udziału autora, który przecież te fakty zgromadził. To zgromadzenie faktów takie a nie inne, jest w „Niebezpiecznych związkach" jedynym śladem autorskiego światopoglądu— z wyjątkiem etykietalnego tytułu i uspakajającego zakończenia. Pozatem przesuwają się przed naszym wzrokiem nagie dusze sześciu głównych aktorów, albo raczej tancerzy niebezpiecznego pląsu miłości i uwodzenia. Wewnętrzna treść każdej z osobistości, występujących w tej jedynej powieści Laclos'a, jest subtelnie rozebrana na cząsteczki, pokazano nam w niej każdy gwincik, każdy trybik, ząbek, sprężynę i korbę! A pokazano nam te maszyny ludzkie—śrubka po śrubce z zamiłowaniem urodzonego mechanika. Maszyny były różne, niektóre z nich są wprost arcydziełami precyzyjności, przy oszałamiającem skomplikowaniu — każdą mechanik Laclos zademonstrował z jednakowem zamiłowaniem.

Tematem „Niebezpiecznych związków" jest uwodzicielstwo i zażywanie rozkoszy. Tematem? Eh, może tylko sposobnością, poz-

walającą czynić tyle prawdziwych spostrzeżeń o naturze człowieczej! Na tle uwodzenia miłej, ładnej, cnotliwej prezydentowej de Tourvel snuje się klasycznie spokojne, choć barwne, smakowite, wzruszające, wstrząsające opowiadanie o miłości, próżności, zmysłowości, galanterji, podłości, opowiadanie przerażające dziejów niewinności, tamujące dech w piersiach opowiadanie dziejów grzechu miłości własnej, opowiadanie o rafinerji umysłu ludzkiego...

Sto trzydzieści lat życia nie uczyniło z „Niebezpiecznych związków“ powieści przestarzałej. Uczyniło ją tylko powieścią historyczną. W „Niebezpiecznych związkach“ tkwi wieczna młodość, tkwi ów pierwiastek nieustającej młodości, który pozwoliłem sobie przy innej sposobności nazwać „wieczną współczesnością“ (studjum „O Klątwie“ Wyspiańskiego, broszura), a który jest tajemnicą geniuszu.

W. Grubiński.

Koncerty Paderewskiego w Warszawie.

Wyczekiwaliśmy przyjazdu wielkiego naszego mistrza i najlepszego obywatela — Ignacego Paderewskiego, jak się wyczekuje nadzwyczajnego jakiegoś wydarzenia, jak się wyczekuje nowej gwiazdy na firmamencie. Wszystkie umysły były zelektryzowane, wszystkie serca tętniły silniej.

I — zaiste, wielkie, czarowne wrażenia przyniosły nam niezapomniane dni jego pobytu w Warszawie.

Po raz pierwszy powitaliśmy genjalnego artystę na wielkim abonamentowym koncercie w Filharmonji—koncercie jakiego już dawno w murach tych nie pamiętamy.

Panował nastrój uroczysty—wszyscy dobrze sobie zdawali sprawę, że za chwilę ukaże się genjusz wielki, artysta nieporównany, człowiek w którym obok duszy artysty jest serce prawego obywatela, kochającego syna ojczyzny.

Gdy się ukazał, wszyscy powstali z miejsc i powitaniom nie było końca. Oddawano mu należny hołd i przyjmowano szczerem, gorącem sercem.

Po cudnem odegraniu koncertu F-moll Chopina, wśród burzy oklasków, do stóp mistrza poczęły padać kwiaty, a liczne nasze instytycje muzyczne składały wieńce laurowe — a więc zarządy: Filharmonji, „Lutni“, delegacje warszawskiego Tow. Muzycz., orkiestry operowej, Instytutu muzycznego, sekcji muzyki zbiorowej, warszawskiej orkiestry filharmonicznej oraz szkoły Płoszko - Iwanowskiej i Marji Sobolewskiej i t. d. i w końcu—szereg osób prywatnych. Nadto zarząd „Lutni“ ofiarował cenny upominek i wręczył mistrzowi dyplom na członka honorowego.

Z utworów Chopina czarował Paderewski dalej nocturnem H-dur, mazurkiem H - moll, polonezem A-dur, preludjum i etiudami a poza Chopinem, utworami Schuberta i Mendelsohna.

Niezapomniany wieczór pieśni i czaru!

Następny koncert, popołudniowy niedzielny, z królewską hojnością ofiarował mistrz na rzecz kasy literatów i dziennikarzy, na fundusz dla wdów i sierot.

Gdy mistrz ukazał się na estradzie, przystrojonej zielenią, znów wszyscy z czcią powstali, znów zagrzmiała burza oklasków—a deszcz kwiecia padał pod stopy uwielbionego artysty.

I popłynęły boskie tony pieśni nad pieśniami...

A po każdej z nich entuzjazm dochodził do szczytu — był to huragan zgodnych, gorących oklasków, wiwatów i okrzyków.

Po pierwszej części koncertu, komitet kasy literackiej złożył mistrzowi ozdobny, artystycznie wykonany adres oraz srebrny wieniec z napisem:



Tłumy przed Filharmonją wyczekują na przyjazd Paderewskiego.

„Genjalnemu Artyście i Obywatelowi kraju — Kasa literacka".

Wyrazić wszystkie uczucia, które się przeżywa na koncercie Paderewskiego — jest niepodobieństwem. Wszystko coby się tylko nie napisało—będzie niedopowiedzeniem idealnie wielkiego dzieła, którego ująć w karby słów niema możności.

Jakże wyrazić wszystkie nastroje tej subtelności, te odcienie, które mistrz tysiącem tysięcy najprzedziwniejszych tonów odtwarza. Już samo zjawienie się mistrza na estradzie jest wzruszające do głębi serca a cóż dopiero gdy zacznie czarować swym nieporównanym talentem. I hojnie, prawdziwie po królewsku obdarzył słuchaczów na koncercie niedzielnym, program olbrzymi, złożony z arcydzieł literatury muzycznej i jeszcze ponadto cały szereg wspaniałych utworów! Koncert rozpoczął się od dzieł klasycznych—Fantazji i Fugi A-mol Bacha-Liszta i sonaty E-dur op. 109 Bethovena, następnie rozsnuł Karnawał Schumana, a tak wymownie—że każdą scenkę zdawało się widzimy, tyle w tem było życia i prawdy. Po krótkiej przerwie znowu wielki artysta ukazał się i wtedy popłynęły melodje Szopenowskie, Nocturne, mazurek A-moll i cudna sonata op. 35 z marszem żałobnym, gdzie tak ponuro, złowieszczo biły dzwony, że wywoływały uczucie głębokiego przygnębienia i smutku, z którego nas wkrótce znowu w inny świat poprowadził ten artysta niezrównany. Więc nastąpiły jeszcze Chant d'amour Stojowskiego i Rapsodja Liszta. Tu koniec programu, a potem jako naddatek dwie etiudy, nocturn i polonez As dur Chopina, oraz Śmierć Izoldy Wagnera i Rapsodja Liszta.

Wielki artysta grał na najtajniejszych strunach naszej duszy, docierał do tych głębi, które nie dla każdego są dostępne i z tytaniczną mocą wskrzesał to, co może tam na dnie drzemało jeszcze lub wyczekiwało, by czarowny dzwon tonów mistrza—powołał do życia. I doprawdy coś nowego działo się w naszych duszach — uczucia, których dotychczas nie doznawaliśmy, rozpierały nam piersi. Złociste promienie płynęły ku nam z muzyką nieporównaną, przenikały do serc, zapalając w nich płomień ofiarny nie ten, z którego ścielą się dymy po dole wśród szarzyzny życia, lecz ten, z którego ulatują wzwyż obłokiem bożym, na znak ziszczenia się błogosławionej ofiary. Tajemnica muzyki mistrza taki piękny cud w naszych sercach sprawiała! Pozostawało wrażenie niezatarte, jakgdybyśmy odchodzili od ołtarza Sztuki inni, odchodzili odrodzeni.

W te piękne wiośniane dni posiał mistrz w nasze serca — nowe, błogosławione promieniejące skarby.

Swięto kultury cielesnej.

Takie miano dać można kongresowi międzynarodowemu kształcenia cielesnego, odbytemu niedawno w Paryżu pod przewodnictwem prof. Gilbert'a, a pod opieką rządu francuskiego z prezydentem Rzplitej — Poincarém na czele. Posiedzenia kongresu odbywały się w Szkole medycznej, gdzie też urządzoną została wystawa kształcenia cielesnego i sportów, obrazująca stan obecny kultury cielesnej oraz rozwój jej w ciągu wieków.

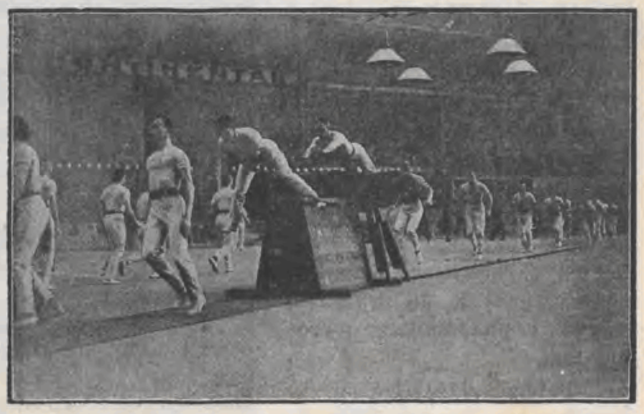


Prof. Gilbert, przewodniczący kongresu.

Uzupełnieniem zarówno wystawy jak i kongresu były bezwątpienia pokazy, nadające pracom wszystkim cechy żywotności, obradujący mieli bowiem przedstawione naocznie rozliczne systemy i metody kształcenia cielesnego tudzież różnorodne wyniki stosowania ich w poszczególnych krajach. Znaczenie pokazów rzeczonych będzie zrozumiałem, skoro dodamy, że w kongresie brało udział przeszło półtrzecia tysiąca osób.

Więc słuszną krytykę otrzymały ćwiczenia bezsensowne zastępu włoszek z Turynu, co zapewne wpływ wywrze na dalszą ich pracę. Podobnież do właściwej miary sprowadzone zostały popisy kalisteniczne angielskie, oraz francuskie według metody Demenego lub też na modłę Izadory Dunkan. Ostatnie piękne są, ale jedynie w zakresie tańca znaczenie mieć mogą i bezwątpienia przyczyniają się do sztuki tej zreformowania.

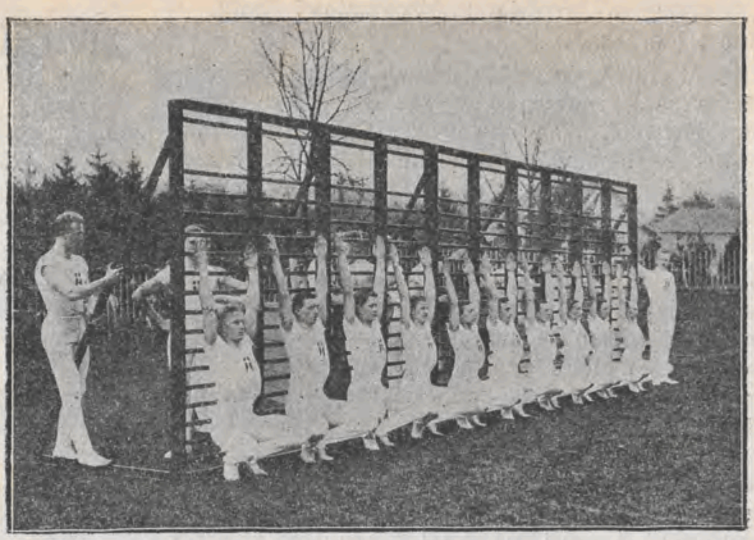
Osobne miejsce w pokazach zajęli wychowankowie marynarki pod wodzą por. Heberta, który stosuje w ich prowadzeniu zasady hartowania i zaprawiania do potrzeb służby we flocie. Ćwicząc bez ubrania, wszyscy zaprawiają się do szybkiego biegu, nazwyczajają się do wody, wspinają po linach, ćwiczą w rzucie, chwytach, zapasach i zmaganiach, a prócz tego prowadzą ćwiczenia niektóre wedle systemu por. Heberta. We wszystkiem widać pozę na modłę staroheleńską, ale ukochany przez wychowanków swych



Szwedzi w skoku, wykonanym z rozpędu z biegu szeregiem.



Włoszki z Turynu przy ćwiczeniach obręczami.



Duńczycy w przysiadzie, z którego przejdą do naporu.

porucznik nie zdołał uchronić ich... od palenia; podczas pokazów można było podpatrzeć, jak najmłodsi (od lat 7) palili fajeczki lub papierosy... Czy dojdą ci malcy do takich wyników ćwiczebnych, jakie okazali najstarsi w wieku około lat 20?.. Por. Hebert prowadzi swój system dopiero od lat 4.

Pokazy gimnastyczne, których było najwięcej, najlepiej wypadły w wykonaniu zastępów belgijskich, szwedzkich i duńskich. Zwłaszcza ćwiczenia duńczyków odznaczały się wirtuozostwem prawdziwem wykonania, celując czystością linji, poprawnością ruchu i zwinnością, co zasługuje na szczególne podkreślenie wobec tego, że w Danji gimnastyka szwedzka zaprowadzona została dopiero od lat kilkunastu.

Obok duńczyków prześliczne ćwiczenia dali też szwedzi, co jest zupełnie naturalne, zwłaszcza, że już kilka pokoleń wychowało się na uprawianiu systemu racjonalnego. Bez wysiłku nadzwyczajnego dali poznać swą sprawność szwedzi zarówno w ćwiczeniach prowadzonych spokojnie i powoli, jakoteż w przepysznie wykonanych szybkich a równych skokach. Zwłaszcza skoki z rozpędem w biegu szeregiem, wypadły wspaniale, dając obraz postaw przypadkowych, jak gdyby stale były wymierzane.

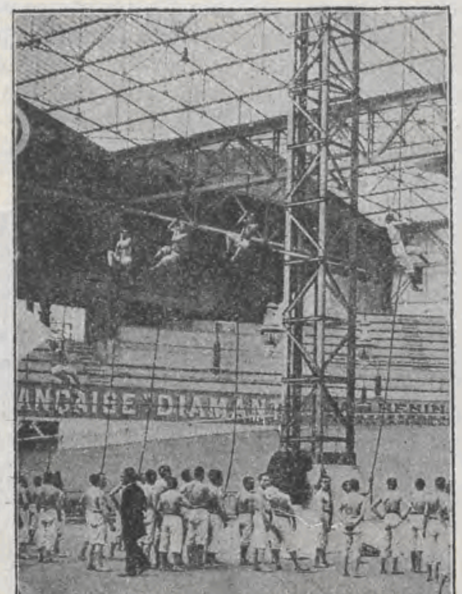
Prócz powyższych pokazów w Welodromie zimowym, odbyły się i inne, ale były już powtórzeniem, albo też nie dały nic nadzwyczajnego ani doskonałego. Chyba wspomnieć warto o ćwiczeniach straży ogniowej, albo też potyczkach szermierczych, odznaczających się wyborną szkołą i znakomitem wyrobieniem.

Pokazy rzeczone przyczyniły się bezwątpienia do ożywienia prac kongresu i wpływ wywarły niemały na wynik jego obrad. Wprawdzie niewiele można było uczynić, odczytując około 130 referatów w 7 sekcjach, po 4 posiedzenia każda. A jednak uporano się z niejedną kwestją, a w sprawie systemów gimnastycznych (do czego zapewne przyczyniły się niemało pokazy) stwierdzono bezwzględną wyższość systemu szwedzkiego.

Z polaków przybyło na kongres do 30 blizko osób, zgłoszono też i odczytano 2 referaty: „O skautingu“ (dr. E. Piasecki) i „O systemie Linga u nas“ (H. Kuczalska); oba wzbudziły duże zainteresowanie i zyskały uznanie ogólne.

Z uchwał kongresu zasługuje na szczególną uwagę jedna, domagająca się obowiązkowego zaprowadzenia gimnastyki do wszystkich szkół i postawienia jej narówni z innymi przedmiotami nauczania. Kongres zamknięto d. 21 b. m., a urządzenie następnego powierzono osobnemu komitetowi, upoważniając go do oznaczenia miejsca i terminu. Na posiedzeniu ostatniem, odbytem w Sorbonie, przemawiał od swych rodaków dr. Eugienjusz Piasecki ze Lwowa.

Wł. R. Kozłowski



Uczniowie marynarki przy wspinaniu.



Uczniowie ze szkoły wojskowej w Joinville przy boksie francuskim.

Kluby uliczników.

Wyrostki są istotami wysoce towarzyskiemi. W życiu ich między 10—15 rokiem występuje wyraźnie cecha, charakterystyczna dla ludzkości w początkach cywilizacji—dążenie do zbliżenia się wzajemnego.

Zarazem jest to najważniejszy i najtrudniejszy okres wychowania chłopców. Najlepszy znawca wyrostków, amerykański profesor Adam Puffer, pisze: „najważniejszym czynnikiem wychowawczym w tym wieku jest nie szkoła, nie rodzina, lecz wpływ towarzyszów."

Ogromna większość wyrostków wychowuje się pod wpływem towarzyszów ulicy, wpływy te jednak nie są równoważne, ani kontrolowane przez nikogo. Ameryka pierwsza zwróciła uwagę na „uliczników" jak my ich nazywamy. W r. 1905 w czasopiśmie „The pedagog" pojawiła się rozprawa, wspomnianego uprzednio prof. Puffera, rzucająca bardzo ciekawe światło na życie uliczników. Badania amerykańskie mogą rzucić wiele światła na sprawę oddziaływania na „dzieci ulicy", nie od rzeczy więc będzie zaznajomić się z niemi pobieżnie chociażby.

Prof. Puffer badał samorzutne organizacje uliczników, rodzaj stowarzyszeń czy związków, wywołanych przez najrozmaitsze przejawy życia. Jeden z pomocników Puffera zbadał 168 chłopców, z tych 128 należało do różnego typu kółek ulicznikowskich, badania Sheldona zaś, tyczące się 1034 chłopców, wykazały udział w kółkach 851 wyrostków. Wypada więc, że w Ameryce trzy czwarte uliczników żyją w karbach organizacji.

Do 66 kółek, zbadanych przez prof. Puffera, należało 651 chłopców, przyczem liczba członków nie przekraczała 9 w kółku. Z badań Puffera wynika, że najmłodszy „zorganizowany" ulicznik liczył 9 lat, najstarszy—16; przeciętny wiek wynosił 13 lat 9 miesięcy. Analogiczne dane otrzymał Sheldon: 87% uliczników z kółek było w wieku 10—15 lat, 7% młodszych i 5% starszych.

Wobec pstrokacizny narodowościowej miast amerykańskich badano dokładnie stosunki między przedstawicielami poszczególnych narodowości. Okazało się, że ulicznicy nie przywiązują żadnego znaczenia do pochodzenia towarzysza. Każde kółko jest organizacją nawskroś terytorjalną — ulica, plac, kwartał—oto tereny skąd rekrutują się się członkowie kółek; zamieszkanie w obrębie dzielnicy danego kółka w większości wypadków stanowi o przyjęciu.

Każde kółko ma swego przywódcę. Najczęściej jest to chłopak najenergiczniejszy, narzucający swą władzę organizacji, w 4 jedynie kółkach wódz był obieralny.

Wstęp do kółka jest względnie łatwy, lecz każdy członek musi się poddać przyjętym zasadom. Pozwolę sobie przytoczyć kilka zasad, obowiązujących w większości kółek:

„Jeżeli chłopak oszukiwał nas, to nosi nazwisko łgarza, a jeżeli opowiada o nas niepotrzebne rzeczy, to jest szpiegiem."

„Jeżeli chłopak oszuka drugiego, to się go wypędza".

„Duży chłopak nie ma prawa bić małego".

„Za okłamanie towarzyszów należy się bicie".

Niektóre kółka żądają zupełnej wspólnoty i członkowie ich we wzajemnych stosunkach nie uznają osobistej własności.

Kradzież jest, ma się rozumieć, codziennem zjawiskiem w życiu uliczników. Członkowie 49 kółek przyznali się otwarcie do uprawiania złodziejstw, trzeba jednak zaznaczyć, że były to najczęściej kradzieże drobne, głównie przedmiotów jadalnych, a zwłaszcza łakoci. O poważnych kradzieżach (z włamaniem) mówili członkowie 9 kółek tylko.

Rozważając dobre i złe strony kółek ulicznikowskich, prof. Puffer dochodzi do wniosku, że są to organizacje wysoce pożyteczne. Kółko przyzwyczaja do podstawowej zasady społecznej: „wszyscy za jednego, jeden za wszystkich", wyrabia lojalność względem przyjętych dobrowolnie praw i uczy dochowania wiary towarzyszom. Słowem, wyrabia społecznie.

Badania Sheldona i sędziego Lindsay'a (kierownika sądów dla nieletnich) potwierdziły w zupełności pogląd prof. Puffera, to też społeczni działacze amerykańscy wnet postarali się o to, by wykorzystać kółka uliczników w celu podniesienia ich etycznie i społecznie.

Urządzane są po miastach „kluby" do których należą ulicznicy i chłopcy szkolni. Lokal skromny, zaopatrzony w stosowną czytelenkę i gry najrozmaitsze, jest punktem zbornym członków „klubu," a umiejętnie prowadzone przez kierowników rozmowy, po-



Nasi ulicznicy, pozostawieni samym sobie, trawią czas na grze w guziki...

cach robotniczych dzielnic, gdzie jedynie szynkownie urozmaicają szarzyznę codziennego życia, posiada punkt, gdzie czuje się u siebie — oto najważniejsza przynęta klubu. Czysty, jasny lokal, dobrze ogrzany w zimie, pociąga uliczników, a gdy parokrotnie będą jego gośćmi, zapisują się na członków.

To, co spotykają w klubie tak odbija od zwykłego ich otoczenia i życia, iż bez wahania poddają się regulaminowi klubowemu. A niektóre przepisy są dość twarde. Nie przyjmuje się próżniaka, który, mogąc pracować, unika roboty, od członków wymaga się czystości fizycznej i moralnej, zmusza poniekąd do zainteresowania książką i gazetą i t. d. i t.d. Pozatem bezpośredni wpływ ludzi wyrobionych społecznie kształtuje duchowość chłopaków. Śród naszych uliczników istnieją prawdopodobnie również samorzutne organizacje. Piszący to miał sposobność obserwować w Łodzi parę grup wyrostków, przyczem doszedł do wniosku, iż chłopcy sami, nie wiedząc o tem, wytworzyli sobie kółko. Pożądanem byłoby zająć się bliżej tą sprawą i zbadać polskich uliczników. Ma się rozumieć, że nie może tego uczynić jednostka, pewny jednak jestem, że doskonale możnaby wykorzystać koleżeńskość uliczników i wywierać na nich wpływ stały przez zorganizowanie odpowiednich klubów.

M. W. Rudnicki.

gadanki i t. p. podnoszą kulturalnie uliczników i niejednego powstrzymały od upadku.

Inaczej nieco zorganizowano kluby uliczników w Londynie. Tam akcję ujęły w swe ręce instytucje zwane *settlament'ami,* przyczem studencka osada urządziła kilka klubów dla chłopców. Nad każdym klubem czuwa jeden lub dwuch studentów; spędzają oni całe wieczory z malcami.

Dzielą się takie kluby na dwie kategorje: dla młodszych (od lat 10—16) i dla starszych (od 16—18). Różnicę stanowi nietylko wiek chłopców, ale i rodzaj wywieranego wpływu.

Kluby bowiem dla młodszych zmierzają jedynie do ustrzeżenia ich przed wpływem ulicy; dla starszych zaś mają prócz tego kierunek intelektualny. Głównem zajęciem chłopców w klubie są zabawy i gry — w warcaby, szachy, domino, gimnastyka i sporty. Obok tego wprowadzono naukę czytania i pisania, wspólne odczytywanie utworów literackich, a nawet... wieczory dyskusyjne.

Każdy z kierowników klubu ma do pomocy komitet, wybrany przez chłopców z grona członków, pilnujący porządku, obliczający czas trwania gier, wyłaniający z siebie w razie potrzeby sądy koleżeńskie. Członkowie klubów opłacają minimalną składkę tygodniową.

Chłopak, skazany może na całowieczorową włóczęgę po uli-



...lub też zgrywają się w karty.

ZE SZTUKI

Salon Richlinga. „Wystawa roku 1813".

Na powitanie wiosny w artystycznym salonie Richlinga urządzona została wystawa w celu upamiętnienia stuletniej rocznicy śmierci ks. Józefa Poniatowskiego—śmierci, bohaterskiej i tragicznej, jaką znalazł w spienionych nurtach Elstery. W dwuch niewielkich salkach zgromadzono kilkadziesiąt obrazów, szkiców, rysunków, ilustrujących to, co miało cośkolwiekbądź wspólnego z osobą księcia, lub jego epoką. Rzecz prosta że najjaskrawszy moment jego życia, kiedy z wysokiego brzegu skacze do Elstery—stał się przewodnim motywem największej stosunkowo liczby wystawionych prac. Ale moment ów, tak pełen majestatycznej grozy i wzniosłego bohaterstwa, zupełnie prawie tak samo, pod jednakowym kątem ujęli a raczej płytko i bez należytego wniknięcia w jego istotne znaczenie —zbanalizowali wszyscy ci artyści, którzy go w twórczem usiłowaniu za pomocą wizji plastycznej, w rysunek i barwę ucieleśnionej — uprzytomnić pragnęli. Mam na myśli niezbyt głębokie i powierzchowne traktowanie tematu, który przecież może być źródłem nieprzebranej treści. Autorowie prac w sali Richlinga wystawionych — ani na piędź nie przekroczyli ciasnego obrębu banalnie odczutej apoteozy, choć dali rzeczy naogół niezłe a niekiedy nawet bardzo szczęśliwe, pod względem rozwikłania pewnych drugorzędnych problematów techniki rysunkowej. Ani Chełmiński, ani Bagieński, Szewczyk i tylu innych, ujęciem swych kompozycji nie stanęli na wyżynie królewskiej Wielkiej Sztuki.

W salce środkowej zebrano szereg starych portretów, wyobrażających księcia Józefa, jak również kompozycji, wykonanych na początku ubiegłego stulecia. Niemałą zasługą p. Richlinga, było zgromadzenie w tejże sali



Feliks Szewczyk. (Sal. Richlinga) Przeprawa przez Niemen.



W. Tracewski. (Sal. Richlinga) Wywiad.



Czesław Tański. (Sal. Richlinga) Wydobycie zwłok księcia Józefa z Elstery.

środkowej, pamiątek historycznych, z epoką księcia związanych, jak np. minjatur, kamei, talerzy, utoczonych w rok jego śmierci, medali, tabakierek, sygnetów, autografów i t. p. Na szczególną uwagę zasługuje oda do księcia Poniatowskiego, ofiarowana mu przez miasto Kraków. Prócz tego, zebrano tam kilka pamiątek po Napoleonie, z pomiędzy których wyróżnia się małe, ozdobione cesarskimi emblematami puzderko, w którem, jak fama niesie (czyż to nie starczy za historyczny dokument?) jakoby sam cesarz, co wieczór, przed udaniem się na spoczynek, ordery swoje chował... Może tak, a... może nie...

J. A.



Stanisław Bagieński. (Sal. Richlinga) Ks. Józef pod Krakowem.

TEATR

Teatr Mały. — Jaracz w „Upiorach".

Wstrząsające „Upiory" Ibsena wypełniały przez tydzień repertuar teatru Małego z nieporównanym odtwórcą roli Oswalda p. Jaraczem na czele.

Warto widzieć tego świetnego artystę w tej trudnej roli, wymagającej prócz szczególnej inteligencji artystycznej, również



Stefan Jaracz,
niezrównany odtwórca roli Oswalda z „Upiorów" Ibsena.

i wyczerpującego wprost napięcia wszystkich nerwów. Jaracz pokonał nietylko trudną technikę roli, lecz wczuł się w nią zrósł i zespolił. Choć dramaty Ibsenowskie narzucają aktorowi „swojego człowieka" niemniej jednak pierwszorzędny aktor powinien rolę Oswalda pojmować indywidualnie, stwarzając własny typ człowieka obciążonego dziedzicznie w którym choroba czyni stopniowe postępy, powodując w końcu katastrofę.

Taka indywidualna naturalność, przygniatająca wprost swą okrutną szczerością, robi najpotężniejsze wrażenie, które właśnie wywarł Jaracz swą grą niepospolitą. Owacje, zgotowane znakomitemu młodemu artyście na jego przedstawieniu benefisowem, niech będą mu miłym zadatkiem tego uznania, które jeszcze czeka go w przyszłości.

Pozostali artyści, jak p. Klońska w roli Heleny Alwing, p. Neubelt — pastor, Popławski — stolarz i Żmijewska — Regina, w miarę sił starali się sekundować bohaterowi dramatu a nawet grze p. Popławskiego najmniejszego szczegółu zarzucić nie można.

Chociaż z determinizmem ibsenowskim trudno się godzić bez zastrzeżeń, dobrze jednak, że wystawiono „Upiory", dają one bowiem rozoperetkowanej i rozkrotochwilowanej Warszawie chwile głębszych i poważniejszych refleksji.

W. Z.

Rozstrzygnięcie konkursu „Bluszczu".

W końcu marca nareszcie rozstrzygnięty został konkurs „Bluszczu" na powieść. Parę lat jury nie było w możności rozstrzygnięcia konkursu, żadna bowiem z nadesłanych powieści nie kwalifikowała się do nagrody. Dopiero teraz (zdaje się w 3-im terminie) wysunęła się na czoło, dzięki wybitnym zaletom literackim i artystycznym, powieść młodego autora Edwarda Ligockiego „Laguna morta". Ligocki więc zdobył palmę pierw-



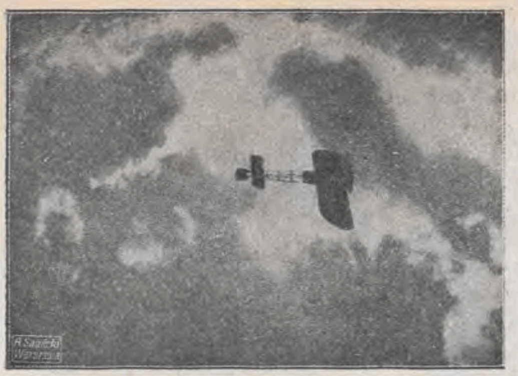
Edward Ligocki,
laureat konkursu ogłoszonego przez „Bluszcz".

szeństwa i wraz z nią nagrodę rb. 1000. Młody autor napisał już poprzednio pracę p. t. „Kuźnica", dalej „Przeznaczenie", „Legendy o królowej Jadwidze" i szereg prac pomniejszych, drukowanych w pismach perjodycznych.

OD REDAKCJI.

— P. Romuald Gregorowicz, któremu przypadł w udziale obraz Jana Olszewskiego „Jastrząb", mieszka w Warszawie, ul. Włodzimierska № 4 m. 2.

— Stylowy fronton szopki w sali Techników (patrz ilustr. w poprzed. numerze) wykonał według własnego projektu p. Edmund Bartłomiejczyk.



Wśród chmur. Ze wzlotów na polu Mokotowskiem.

Katastrofa lotnicza.

Człowiek w zdobyczach swych jest nieustraszony—nie zniechęcają go wypadki poprzedników nie ustępuje przed trudnościami. I dobrze że się tak dzieje, inaczej nie byłoby postępu lub conajwyżej byłby on bardzo powolny i nieznaczny.

Bohaterami wśród szeregu bojowników postępu są bezsprzecznie i awiatorzy, walczący z żywiołem, który wciąż jeszcze nowe ofiary pochłania.

W Warszawie zdarzył się przed kilkoma dniami pierwszy śmiertelny wypadek lotnika.

Podporucznik Aleksander Perłowski, lat 24, polak, wielce uzdolniony lotnik, szybując na aparacie „Nieuport“, wskutek wadliwego działania motoru, spadł ze znacznej wysokości i zabił się na miejscu. Wypadek ten sprawił wstrząsające wrażenie, a z Petersburga wysłano delegację z generałem na czele, dla zbadania przyczyny katastrofy.

1-go kwietnia odbył się pogrzeb tragicznej ofiary zawodu.

Tłumy zebrały się przed kościołem św. Aleksandra i tłumy przeprowadzały kondukt na kolej Petersburską, którą ciało zostanie przesłane dalej do Żytomierza. Za karawanem wieziono, zaprzężony w 6 koni, aeroplan, przybrany kwieciem i wieńcami. Delegowane kompanje pułków oddawały przed trumną honory wojskowe.

Zdaje się, że główną przyczyną katastrofy było to, że ś. p. Perłowski dosiadł nowego aparatu, którego konstrukcja nie była mu dostatecznie znaną, nie mógł więc w krytycznej chwili zastosować właściwych środków, chroniących przed upadkiem.

ALBANJA.

W obecnem przesileniu europejskiem, sprawa Albanji wysuwa się na plan pierwszy.

W Albanji krzyżują się bezpośrednio interesy Austrji i Włoch, dla których ta nadmorska kraina, o ile jej terytorjami nie zostają powiększone terytorja serbskie, stanowi naturalną i pożądaną przeszkodę dla rozwoju Serbji i wogóle państw bałkańskich, tak groźnych w obecnych czasach dla zlepionej z mnóstwa narodowości monarchji Habsburgów, jak również i Włoch, którym mogłyby paraliżować ruchy na morzu Adrjatyckiem.

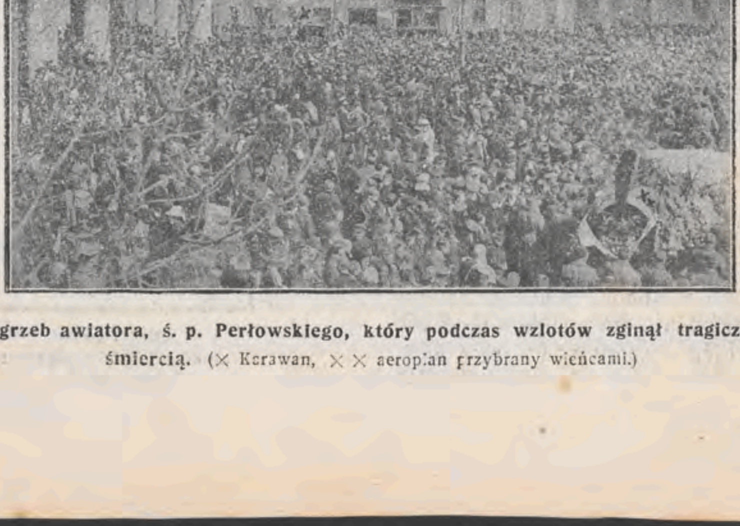
Państwa te, nie mogąc marzyć obecnie o aneksji Albanji, poprzestają na energicznem popieraniu żądań niezawisłości tej krainy, liczącej tylko 2 miljony mieszkańców. Z żądaniem tem pozornie solidaryzują się wszystkie mocarstwa Europy, dając temu wyraz w nocie, żądającej zaprzestania oblężenia Skodaru przez wojska czarnogórskie.

Rozumie się, z tego wmięszania się państw europejskich, najbardziej zadowoleni są Albańczycy, naród górski pełen w bujnej swej duszy aspiracji wolnościowych.

Naród to istniejący z górą 2000 lat, a jednak pierwotny i nietknięty kulturą, naród rycerski, zespolony niepodzielnie z dzikością i bogactwem natury swego pięknego kraju, naród nie posiadający własnej literatury lub wogóle ognisk, mogących uszlachetniać a jednak naród przy całej swej nawet dzikości i rozbójniczym popędzie w gruncie szlachetny, mający w sercu swem głębokie ukochanie ojczyzny, wolności i rycerskich ideałów.

Rozumie się, opieka mocarstw narzuci również Albanji panującego ze swego łona, ale już na tę ewentualność zgodzą się Albańczycy bez szemrania w myśl tego jak się wyraził jeden z przywódców albańskich Kemal-bej: „Niech tam nawet głowa państwa będzie z obcego kraju, byleby serce kraju, było rdzennie nasze“. Serca tego Albańczycy nie dadzą już sobie wydrzeć i dzielnie bronić będą swej niepodległości wśród rodzinnych swych fortec, dłonią natury z gór przepaścistych dźwigniętych.

W końcu nadmienić wypada że z kandydatów na tron albański wymieniają obecnie księcia Franciszka Ferdynanda Burbońskiego z Montpensier ur. w r. 1884, obecnie oficera marynarki hiszpańskiej, kandydata Rosji i księcia Wilhelma Urach, hrabie-



Pogrzeb awiatora, ś. p. Perłowskiego, który podczas wzlotów zginął tragiczną śmiercią. (× Karawan, × × aeroplan przybrany wieńcami.)



Wilhelm książę Urach hr. Würtemberski. **Książę Ferdynand Burboński z Montpensier.**

Pretendenci do tronu albańskiego.

go Würtemberskiego ur. w r. 1864, generała w Sztutgardzie, szwagra króla belgijskiego.

Który z kandydatów zwycięży—przyszłość wskaże, a może wyłoni się jeszcze jaka nowa, niespodziewana kandydatura.

Wogóle. niespodzianki w tych niespokojnych czasach zaczynają już być objawem... nader pospolitym. *W. Z.*

Miecz i dyplomacja.

Echa zdobycia Adrjanopola. — Bohaterska obrona. — Niespodzianki dla dyplomacji. — Ku stolicy padyszachów — Sprawa Skutari. — Niezestrojony koncert.

Zdobycie Adrjanopola przez wojska bułgarsko-serbskie pod wodzą gen. Iwanowa jest jednym z najwybitniejszych epizodów toczącej się prawie już pół roku wojny na Bałkanach. Adrjanopol nie poddał się, jak to zwykle bywa z oblężonemi fortecami, — lecz został szturmem zdobyty, po wykonaniu ataku na bagnety tak gwałtownego, jakiego w nowoczesnych dziejach sztuki wojennej dotychczas nie zapisano. Kosztowało to 16,000 żołnierzy, zabitych i ranionych, — a przyniosło w zysku: miasto, o które spór się toczył podczas rokowań pokojowych, oraz około 50,000 jeńców tureckich i olbrzymi łup wojenny w postaci armat, karabinów i amunicji.

Obrońca fortecy, Szukri-pasza, wprawdzie nie wysadził się w powietrze, jak to o nim pierwsze głosiły wieści, ale bronił się do ostatka prawdziwie po bohatersku. Gdy widział, że wszystko już stracone,—kazał podpalić koszary, magazyny, składy amunicji, aby jaknajmniejsza zdobycz wpadła w ręce przeciwnika. Nie zniszczył wszystkiego, bo na to potrzeba długiego czasu i dużych wysiłków. Sam bronił się w jednym z fortów do ostatka. Już bułgarzy od ośmiu godzin zajęli fortecę i miasto, już w niem gospodarować zaczęli, a Szukri-pasza jeszcze się nie poddawał z otaczającym go sztabem.

Dopiero pod wieczór owego dnia pamiętnego — było to 25-go marca — widząc, iż wszelki opór dalszy byłby już nie odwagą, lecz szaleństwem, wywiesił białą flagę i odesłał przez adjutanta szablę swoją generałowi Iwanowowi. Sprowadzonemu do obozu bułgarskiego, oddano Szukri-paszy honory wojskowe. Na



Bułgarski generał Radko-Dmitriew.
(W ważnej misji jeździł do Petersburga).

drugi dzień król Ferdynand powitał go jako bohatera i zwrócił mu szablę w dowód najwyższego uznania, zostawiając zarazem zupełną osobistą swobodę. Obrońca Adrjonopola jednak uznał się jeńcem i wyjechał do Sofji.

Jakie korzyści przyniesie zwycięzcom zdobycie Adrjanopola,—trudno dziś jeszcze przewidzieć, tembardziej, że wypadek ten był jedną więcej niespodzianką dla dyplomacji europejskiej. W przeddzień postanowiła ona wstrzymanie akcji wojennej na Bałkanach. Zdobycie warowni, o której mówiono, że nie jest do zdobycia, było odpowiedzią na to postanowienie dyplomacji. Niewątpliwą korzyścią będzie osiągnięte przez bułgarów „prawo zwycięzcy," mające w układach pewne znaczenie. Ale Adrjanopol i bez tylu ofiar byłby się dostał bułgarom, bo na to już przedtem zgodziły się mocarstwa. Byłby się nawet dostał z większymi łupami, bo Szukri-pasza nie miał prawa niszczyć zapasów.

Załatwienie się z Adrjanopolem pozwoliło bułgarom użyć część sił swoich pod Czataldżą, celem przełamania linji fortów, broniących dostępu do Konstantynopola. Dyplomacja europejska znów czyni wysiłki, aby nie dopuścić do zajęcia stolicy padyszachów. Ale wysiłki dyplomacji jakoś nie mają w tych czasach powodzenia.

Najznamienniejszym w tym zakresie objawem jest sprawa oblężenia Skutari. Od początku wojny warownię tą oblegają czarnogórcy. Od połowy wojny dyplomacja, na usilne żądanie Austrji, orzekła, że Skutari ma należeć do przyszłej, niepodległej Albanji. Czarnogórcy nie



Szukri-pasza,
obrońca i były komendant Adrjanopola.



Generał Iwanow,
zdobywca i obecny komendant Adrjanopola.

wiele sobie robili z tego orzeczenia i w dalszym ciągu twierdzę ostrzeliwali. Po długich naradach dyplomacja austrjacka zażądała od Czarnogórza zaprzestania oblężenia, aby ludność cywilna Skutari mogła opuścić miasto. Czarnogórcy zgodzili się na to,—ale nie zgodził się komendant fortecy. Więc po upływie zastrzeżonego terminu, czarnogórcy, wbrew zakazowi austrjackiemu, popartemu przez inne mocarstwa, wznowili ostrzeliwanie warowni. Austrja grozi „demonstracją,“ to znaczy: wysłaniem na wybrzeża Czarnogórza okrętów wojennych, a w razie potrzeby — zarządzeniem bombardowania wybrzeży czarnogórskich.

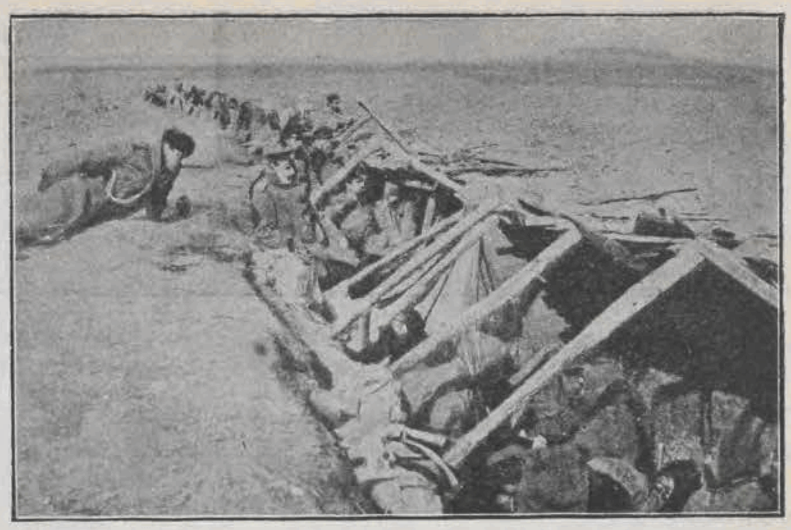
I tu znów okazuje się w całej pełni bezsilność dyplomacji. Austrja występuje jakoby w porozumieniu i za zgodą wszystkich wielkich mocarstw, zarówno trójprzymierza, jak i trójporozumienia. Tymczasem przedstawiciel jednego z państw oświadczył podobno na konferencji ambasadorów, że zgadza się na wszelką akcję dyplomatyczną, ale uchyla się od udziału w jakichkolwiek demonstracjach, mających bodajby pozór nacisku. Znaczy to, że pomimo szumnego głoszenia światu całemu o zgodności i jednomyślności mocarstw w stosunku do sprawy bałkańskiej, zgodności tej niema wcale a co najwyżej jest ona tylko pozorną.

Dlatego też w „koncercie“ europejskim w ostatnich czasach odzywają się coraz częściej fałszywe dysonanse i psują nastrój pokojowej harmonji. Nie ulega wątpliwości, iż żadne z mocarstw nie pragnie dziś wojny. Ale niespodzianki polityczne stały się w ostatnich czasach rzeczą tak powszednią, że wybuch wojny między wszystkimi lub niektórymi uczestnikami owego „koncertu“ nie byłby naprawdę niespodzianką. *(h. m.)*

Orkan i powódź w Ameryce północnej.

Niebywała katastrofa żywiołowa zniszczyła całe miasta i wioski w Stanach—Ohio, Indjany i Pensylwanji w Ameryce północnej.

Nadciągnął straszliwy orkan.

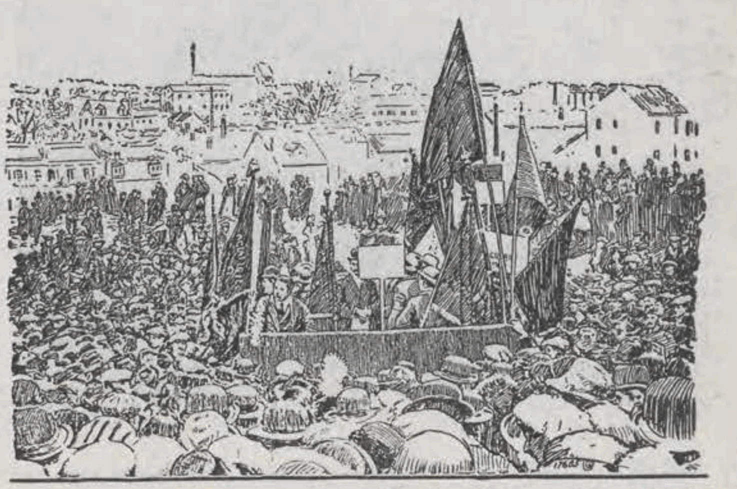


Z ostatnich szturmów na Adrjanopol.



Brama, przez którą pierwsze korpusy wojsk bułgarsko-serbskich wkroczyły do Adrjanopola.

Trzyletnia służba wojskowa we Francji.



Wiece i demonstracje tłumów w Paryżu przeciwko uchwalonej przez Parlament trzyletniej służbie wojskowej.



Tamy zostały zerwane — wszystko zalała woda.



Z domów pozostały tylko szczątki i kupy gruzów.

Katastrofa żywiołowa w Ameryce północnej.

Niebo paliło się od błyskawic— ryk wichru i piorunów na chwilę nie ustawał, waliły się domy; wszystko w niwecz zostało obrócone w niespełna parę godzin. A nadomiar złego—obrywanie się chmur spowodowało powódź, jakiej chyba Stany te nie pamiętają. Woda w miastach dochodziła na ulicach do wysokości 20 stóp! Ludzie uciekali na dachy, lecz i to nie na wiele się zdało, bowiem pod naporem olbrzymich fal padały domy a rwący prąd wszystko unosił. W falach zginęło kilkanaście tysięcy osób, liczba nie jest jeszcze dokładnie ustalona. Dość powiedzieć że n. prz. jedna fala zmiotła całą szkołę z 400 dziećmi i szpital z 600 chorymi w ludnem i pięknem mieście Daytom, gdzie rzeka Miami zamieniła się w szalejący olbrzymi nurt z wodospadami i wirami na szerokości wielu kilometrów.

Najpotężniejsze tamy pękały pod naporem fal. Żadnych środków bezpieczeństwa nie można było zastosować, wszelką akcję ratunkową udaremniała bowiem moc szalejącego żywiołu. Straty wynoszą miljony dolarów. Z jednej strony trąby powietrzne, z drugiej —pożary od piorunów, z trzeciej—spienione fale wodne — wszystko to składało się na piekielny niszczący chaos, na żniwo śmierci i zniszczenia. *Scr.*



Rusztowania, dachy i wieżyce waliły się, najfantastyczniej pokręcone.

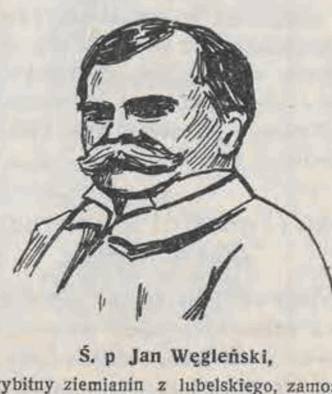
Kursy rolnicze.

W Pułtusku odbyły się w marcu kursy rolnicze dla oficjalistów, posiadaczy mniejszej własności i włościan. Kursy takie, odbywające się już w naszym kraju od paru lat w pewnych miesiącach, trwają po kilka tygodni i są wielce pożyteczną pedagogiczną placówką dla małorolnych, których zajęcia i niemożność wyręczania się zastępcami oraz środki materjalne, nie pozwalają na dłuższe i kosztowniejsze studja rolnicze.



Kursy rolnicze w Pułtusku. Wśród słuchaczów znajdują się prelegenci p.p.: Wyszomirski — instruktor mleczarstwa, Kraszewski — instruktor rolnictwa, Ćwierciakiewicz — dyrektor syndykatu rolniczego w Pułtusku i Gogolewski — członek zarządu Tow. rolniczego w Pułtusku.

Napad bandytów w Świdnikach.



Ś. p Jan Węgleński,
wybitny ziemianin z lubelskiego, zamordowany podczas ohydnego napadu na dwór w Świdnikach.



Femina

1)

CZYNNIKI SZCZĘŚCIA W WIEKU DZIECIĘCYM.

Szczęście, jako pewien określony stan istoty ludzkiej, zależny od czynników fizjologicznych stale podlega ewolucji: jest względne i zmienia się stosownie do wieku, z biegiem lat bowiem zmieniają się jego czynniki. Zamiast więc rozwiązywać problemat szczęścia ludzkiego wogóle — zatrzymam się z kolei nad czynnikami szczęścia, właściwymi każdemu wiekowi: dzieciństwu, wiekowi chłopięcemu i dojrzałemu.

Grunt naukowy, na jaki w chwili obecnej przeniesione zostały czynniki szczęścia, da możność wprowadzenia wielu pożytecznych reform w pedagogji, i co zatem idzie, w wychowaniu przyszłych pokoleń.

Wychodząc z założenia, że pojęcie szczęścia jest równoznaczne z pewną sumą zadowolenia, radości i wogóle stanów przyjemnych, jakie odczuwa człowiek, przy najmniejszej ilości cierpienia i smutku, zgodzić się musimy, iż maximum dostępnego ludziom szczęścia, przypada na wiek dziecięcy (łącznie z chłopięcym). W tym wieku bowiem natura ludzka najbardziej jest przygotowana do zapewnienia człowiekowi największej ilości możliwego szczęścia.

Gdy dziecko wstępuje w życie, wydaje mu się ono rajem; z wiekiem dopiero dochodzi do przekonania, że niestety, z raju tego zostało wypędzone. Przeświadczenie powyższe stanowi granicę pomiędzy szczęśliwym okresem jego życia, a tym, który po nim nastąpi i rozbudzi w duszy dziecka wieczny żal za utraconem szczęściem. Gdy zapytamy kogokolwiek z dorosłych, kiedy był najszczęśliwszy, bez wahania odpowie, że w dzieciństwie. Bywają wprawdzie szczęśliwe chwile i w innych okresach życia, lecz niestety! są one przelotne i krótkotrwałe. Dzieciństwo tymczasem — w normalnych upływające warunkach — to nieprzerwane pasmo promiennego szczęścia. A przeświadczenie o tem szczęściu — to nie błąd perspektywy, spowodowany stosunkową odległością od tej epoki, kiedyśmy byli dziećmi. Nie, każdy z nas czuje to doskonale, że szczęście naszego dzieciństwa jest nieokreśloną i tajemniczą, lecz niezaprzeczoną realnością. I jasnem jest dla nas, że ma ono podstawy w jakichś warunkach naszego istnienia.

Istotnie, życie dzieci jest przejściem od jednego stanu zadowolenia do drugiego. Po słodkim śnie następuje radosne przebudzenie. Radość ta jednak nie jest uwarunkowana żadnymi określonymi motywami. To przemawia tajemnicza siła życia! Wszystkie zmysły, za pomocą których komunikują się dzieci ze światem zewnętrznym, dostarczają im nowych rozkoszy. Wrażenia wzrokowe, słuchowe, smakowe, a nawet węchowe, dają im znaczną sumę zadowolenia.

Jeżeli chodzi o cierpienia i smutki, to tych również doświadczają i dzieci, lecz cierpienia bywają krótkotrwałe i przemijające, jeżeli nie istnieją specjalne i wyjątkowe ich przyczyny.

Nie można również nie zgodzić się z tem, że intensywność stanów przyjemnych, jakich doświadczaliśmy w dzieciństwie, nie powtórzy się już nigdy.

Jakież są czynniki szczęścia w wieku dziecięcym?

Należy przedewszystkiem zwrócić uwagę na dwie kategorje czynników: na czynniki fizjologiczne i psychiczne. Nie znaczy to, żeby nie wchodziły tu w grę i warunki zewnętrzne. Posiadają one, bez wątpienia, olbrzymie znaczenie; czynniki jednak, tkwiące w samej naturze człowieka, zajmują pierwszorzędne miejsce. Iluż jest w samej rzeczy, ludzi, dla których warunki zewnętrzne są w późniejszych okresach życia bardziej sprzyjające, aniżeli w dzieciństwie, a jednak nie uważają się oni za szczęśliwych. Szczęście zatem dzieci pozostaje w bezpośrednim związku z ich naturą.

Czynniki fizjologiczne.

Rozważmy najgłówniejsze funkcje organizmu dziecięcego. Wiadomo, że współczesna fizjologja rozróżnia w procesach życiowych trzy grupy: funkcje przemiany materji, siły i kształtów. Do pierwszej grupy zaliczamy: krążenie, oddychanie, odżywianie (w ścisłem znaczeniu) i wydzielanie. Zacznijmy od krążenia.

Centralnym organem krążenia jest serce, od którego zależą wszystkie podstawowe procesy życiowe, jakie zachodzą w naszym organizmie. Przyjrzyjmy się anatomiczno-fizjologicznym właściwościom tego narządu u dzieci.

Wiadomo z fizjologji, że serce dziecka jest stosunkowo większe, niż serce człowieka dorosłego. U noworodków (oprócz stosunkowo większych rozmiarów) prawa komora i przedsionek są bardzo rozwinięte, samo zaś serce odznacza się wyższem położeniem w klatce piersiowej. Właściwości te zanikają stopniowo z nadejściem okresu dojrzałości, za wyjątkiem pierwszej, gdyż i w okresie dojrzałości serce rośnie szybko i dorasta do 260 cent. sześć. Tętnica płucna jest u dzieci znacznie szersza, niż u dorosłych, co powoduje bardziej intensywne ciśnienie krwi w małym krwiobiegu. Choć w dużym krwiobiegu ciśnienie krwi jest słabsze u dzieci, niż u ludzi dorosłych, to jednak za nadejściem okresu dojrzałości staje się bardzo energiczne.

Z tego zresztą, że ciśnienie w dużym krwiobiegu jest słabsze u dzieci, nie należy wnioskować, że i serce pracuje u nich słabiej. To bowiem słabsze ciśnienie jest następstwem rozszerzenia układu naczyniowego w organizmie dziecięcym. Ilość uderzeń serca jest u dzieci daleko częstsza, niż u dorosłych. Wskutek częstszego pulsowania i większej stosunkowo średnicy naczyń krwionośnych, krążenie u dziecka jest daleko szybsze.

U noworodków prąd krwi uskutecznia swój obieg w 12 sekund; różnica zaś każdego krwiobiegu pomiędzy dziećmi i dorosłymi wynosi od 10 do 20 sekund w miarę zbliżania się do okresu dojrzałości. Wskutek tego wypychany z serca z wielką energją i nie zatrzymany w szerokich naczyniach krwionośnych, prąd krwi szybko przebiega cały organizm dziecka w przeciągu 14—18 sekund, zraszając, odżywiając i pobudzając nietylko okolice centralne, lecz i najbardziej odległe. Przytem zraszający prąd zawiera u dzieci dwa razy większą ilość krwi, niż u dorosłych, średnica zaś naczyń włoskowatych jest u pierwszych znacznie szersza.

Widzimy z powyższego, że proces odżywiania tkanek, utleniania i wydzielania, jest u dzieci intensywniejszy. Zaznaczyć również muszę, że ilość czerwonych ciałek krwi znaczniejsza jest u dzieci, niż u ludzi dorosłych. We krwi noworodków liczba ich dochodzi do 6 miljonów w 1 milimetrze sześć.; następnie ilość ta zmniejsza się stopniowo, lecz w wieku dziecięcym i chłopięcym znaczniejsza jest, niż w dojrzałym. Są one przytem u dzieci większe. Tlen przeto, którego dostarczają im płuca, jest pochłaniany daleko szybciej, niż u dorosłych. Przytem, czerwone ciałka mają u dzieci kształt bardziej okrągły, wskutek czego nie okazują dążności do przylegania. I białych ciałek jest również we krwi dzieci więcej aniżeli we krwi dorosłych.

(d. c. n.) *E. Żypowska.*

UCZESANIA. — OBUCIE. — MODNY BRELOK „LA PLAQUE".

Ładne, staranne uczesanie, to jeden z najważniejszych czynników ładnego i eleganckiego wyglądu. Trudno istotnie byłoby wyobrazić sobie damę, choćby w najwspanialszej tualecie, a w zaniedbanem uczesaniu—i wprost przeciwnie, skromne ubranie nabiera wdzięku przy ślicznie uczesanej główce. Sposób ułożenia włosów, zmienia wygląd twarzy, akcentuje rysy, ukrywa niedokładności — jest to rama naszego oblicza — a wiadomo że rama czyli najbliższe okolenie, wpływa znamiennie na wygląd obrazu. Uczesanie musi koniecznie ładnie twarzy towarzyszyć, być zastosowane do wieku, do układu rysów, nawet do koloru włosów. Nic dziwnego, że tak ważny szczegół tualetowy zrodził sztukę... fryzjerską, której oddaje się setki... tysiące ludzi—i że mistrze grzebienia, obmyślają coraz to nowe kreacje, czyli sposoby trefienia naszych splotów lub artystycznego upinania na głowach kobiet—różnych włosowych dodatków, bez których staranne uczesanie obejść się teraz nie może. Przed laty 12 sławny paryski fryzjer *Lenthéric,* został twórcą tak zwanego *Postiche bouffant,* który przez lat kilka robił furorę i obdarzył swego wynalazcę kroclową fortuną.

Z czasem *postiche* przerodził się w t. zw. *transformację*—niezmiernie wygodną, noszono różne loki i loczki—dodatki i dodateczki—aż obecnie wraz z redukcją kapeluszy—i wogóle z ogólnem zmniejszeniem obwodu tualet—i uczesanie do tych małych proporcji zastosować się musiało.

Duże, bardzo skombinowane a tem samem powiększające głowę uczesanie, wyglądałoby wprost rażąco, przy wąziuchnej obecnej sukni. To też ze swoich czy też przypiętych włosów, tworzą uczesania przeważnie małe, skromniutkie, płaskie, pozwalające nasunąć głęboko na czoło mały kapelusik, wszystko to bowiem musi być ściśle do siebie zastosowane. Ryciny nasze przedstawiają dwie główki modnie uczesane. Główną charakterystyką jest zasłonięcie czoła aż do brwi i przykrycie uszów. Trzecia głowa, to *secesja* w uczesaniu, nadająca się do tego rodzaju rysów a niemożliwa przy twarzy o rysach drobnych, okrągłych.

Raz jeszcze powtarzam, że jeżeli wogóle „MODA" musi być zastosowana do osobistych warunków powierzchowności — to już w uczesaniu jest to *dopasowanie* nieuniknioną koniecznością, dla osób pragnących osięgnąć pełną harmonję i estetykę, w całokształcie swego wyglądu.

Od głowy przechodzę do stóp—do owych nóżek, których ustrojenie zajmuje obecnie tak pokaźne miejsce w ubraniu naszem.

MODA obecna — dziwnym, o erotycznej podstawie kaprysem, upodobała sobie nasze stopy. Pozbawiając je dłuższych i szerszych spódnic, kazała im wyjść z ukrycia i przedstawiła je w całym ich wdzięku i powabie kształtów. Tworząc tualety strojniejsze, umiejętnemi draperjami i przecięciami, ukazała już nietylko stopy ale nogę blizko do kolana—czego dowodem były podwiązki wysadzane brylantami, noszone tej zimy do sukien balowych, z unoszonym w ręku trenem. Taka wystawa stóp i nóg, musiała oczywiście pociągnąć za sobą specjalne udekorowanie, specjalny dział tualetowy, stopom i nogom poświęcony.



Medaljony na okryciu i na bluzce.
W środku piękne medaljony ze sztuczną perłą i ametystem.

A jest on obszerny i bardzo luksusowy. Uwielbienie „MODY" dla nóżek—kosztuje panie dużo starań a jeszcze więcej pieniędzy. A więc najpierw co do modnych trzewików. Dama stosująca się ściśle do „MODY", musi ich mieć co najmniej 8 par. I tak: Na spacer do rannej tualety *żółte* amerykany (brzydkie) i pół amerykany, czyli angielskie (ładne) oraz takie same czarne, w razie niepogody. Do tualety popołudniowej, pantofelki zastosowane, do koloru sukni lub conajmniej z jakąś inkrustacją do sukni właściwą. Wieczorem do tualet strojnych, pantofelki atłasowe, bogato świecidłami haftowane, na wybrylantowanych obcasach, również do koloru tualety zastosowane.

Ostatnią sensacyjną w tym dziale paryską nowością, są na rauty i koncerty tak zwane *koturny* modernizowane, na płaskich obcasach, wykończone ze starożytnych materji, brokarów haftowanych kaboszonami, przeważnie pąsowymi lub zielonymi. Zdaje się, że to stroje dla stópek — dostateczne!... Teraz pończoszki. Owe dawne *ażurowe* już wcale nie są noszone. Obecnie do tualet rannych spacerowych i trzewików żółtych, nosi się pończoszki cieniuchne *fil d'Ecosse* lub *fil de Perse*, koloru albo trzewika albo sukni, popołudniu cieniuchne jedwabne, koloru przeważającego w tualecie, a na wieczór... cała pończoszkowa symfonja, bardzo piękna — ale bardzo kosztowna. Cieniuchna pajęcza gaza, robiąca wrażenie nieobecności, gdy jest cielistą—takaż gaza pokryta pajęczą siateczką złotą—cenne koronki w gazę inkrustowane, lub z tychże koronek zszywana całość pończoszki—prze śliczne ręcznie na gazie malowane kwiaty i liście.-. Do *koturnów* konieczne są bandaże z lamy srebrnej lub złotej... MODO—królowo nasza, co jeszcze wymyślisz, dla ustrojenia ukochanych przez siebie nóżek naszych?... Wypada cię prosić już tylko o jedno... Obdarz nas wszystkie stopami *Kopciuszka* a kształtami cudnej Venus, zrodzonej z fal morskich... i daj nam jaknajwięcej pieniędzy, aby te kształty według woli twojej przystrajać... Jak bardzo zmiennymi są rozkazy MODY mamy jeden dowód więcej w przywróceniu nam zaniedbanych przez czas jakiś medaljonów noszonych na szyi a nazwanych *Plaques*. Parę lat temu były one epidemicznie modne, robiono tym kształtem przecudne okazy — zaczęto oczywiście od kamieni prawdziwych — perły, brylanty, szafiry, rubiny i t. d. — w ślicznej przejrzystej filigranowej



Główka zdobna w oryginalną secesyjną fryzurę.

Najmodniejsze uczesania.

oprawie. Były tak piękne, tak strojne, że wkrótce zapragnął je posiadać szerszy ogół — i zrodziła się imitacja — z początku bardzo wytworna, paryska, dająca pełne złudzenie—następnie niemiecka—coraz lichsza—aż przeszła w zupełną tandetę—i dla eleganckich kobiet *La Plaque* przestała istnieć.

Otóż obecnie, klejnot ten powstał z martwych i znowu ma ogromne powodzenie. Właściwością tego rodzaju i kształtu biżuterji jest to, że nosi się zawsze, do każdej choćby skromnej tualety, nawet do ubrań spacerowych — na żakietach i okryciach—wykluczony jest jedynie przy sukniach sportowych. Charakterystyką, *La Plaque* jest oprawa w platynę—z zupełnem pominięciem złota. Robota jubilerska *musi* koniecznie być pierwszorzędna, taka jak przy kamieniach prawdziwych, które *mogą* być imitacją—a to daje tylko Paryż. Chcąc nosić *La Plaque* trzeba ją mieć bardzo piękną—w razie przeciwnym należy niestety zapomnieć, że odzyskała łaski „MODY“. Tandeta w tem—jak zresztą we wszystkiem co nosimy lub co nas otacza—jest okropna!...

Marcèle.

„BOSTON CLUB“.

Berlin, stanowczo pozuje i choruje na Paryż, na Londyn, a nawet na wielkie stolice Stanów Zjednoczonych. Przyswaja on sobie szybko, gorączkowo, wszystkie wszechświatowe nowości i to w rozlicznych życiowych działach. Ma pretensję do paryskiej elegancji i szyku, do angielsko-amerykańskich sportów i rozlicznych ekscentryczności. Że stolica zjednoczonych Niemiec jest istotnie Weltstatem, czyli miastem wszechświatowem, to nie podlega dyskusji. Francuskie miljardy zrobiły swoje, podniosły stolicę materjalnie, a styczność z francuzami ogładziła dawną pruską prowincjonalną gburowatość i ociężałość. Niemki, wzorując się jaknajściślej na Paryżu i paryżankach, ubierając się nad Sekwaną, ucząc się zawzięcie po francusku, dochodzą powoli do paryskiego zacięcia w tualetach i wytworności w rozmowie, nawet mieszkania urządzają na francuski sposób, a życie sportowe kwitnie w Berlinie w całej pełni, wyjęte z ram londyńskich i amerykańskich.

Jednym z życiowych działów niezmiernie uprawianych nad Sprewą, jest taniec, we wszystkich obecnych, *modern style* swoich przejawach. Nawet w najpierwszych berlińskich salonach tańce dawniejsze tak zwane *wirowe*, zostały prawie zarzucone, lub pozostawione starszej a jeszcze tańczącej generacji. Młode mamy i ciocie tańczą walca i polkę, córki i siostrzenice przyswoiły sobie tańce nowożytne, a więc *Boston i double Boston, One i Two Steep,* różne *Rags* i t. p. Gust ten tak się rozwija, tak opanował młodych, tak owładnął ich temperamentem, że walka z tem upodobaniem pozostałaby głosem wołającego na puszczy. Taniec jest obecnie sportem, namiętnie uprawianym. Ponieważ w paryskim *Montmartre* założono szkołę *Danses modernes,* zapragnął oczywiście posiadać taką uczelnię i Berlin. I oto powstał *Boston Club,* gdzie pierwszorzędni specjaliści i specjalistki, wtajemniczają nowych adeptów, we wszystkie subtelności najwyszukańszych *pas* i przyznać należy, czynią to z wielką gracją i szykiem. Jak widzimy, kostjumy mają prześliczne, stylowe i wysoce eleganckie. Po za tem berliński *Boston Club* odznacza się wielką i pomysłową oryginalnością. Oto w pięknych klubowych salonach, wszystko jest w kolorach fijołkowych, ściany, sufity, meble, dywany, a co najwięcej, całe elektryczne olbrzymie oświetlenie lokalu w fijołkowej armaturze. Tonie się w potokach fijołkowego światła przy którem wszystko przybiera fantastyczny niebywały wygląd. Tym razem Berlin wyprzedził Paryż, gdzie na ten pomysł się nie zdobyto. Oczywiście ten szczegół zupełnie nowy i podobno bajeczny—przyciąga tłumy, z czego korzysta Boston-Club rozwijając się i doskonaląc z niezmierną szybkością.



Boston, jeden z najbardziej oryginalnych i najmodniejszych tańców.

Biuro informacyjne Związku Równouprawnienia Kobiet Polskich (Nowy-Świat 4) zmienia dzień dyżuru na czwartki od 7-ej do 9-ej wieczorem. Biuro informuje o warunkach zapisu i pobytu w zagranicznych szkołach wyższych i fachowych, o warunkach nauki i pracy zawodowej w kraju, oraz udziela porad prawnych.

Na odpowiedź piśmienną należy załączyć markę.



WZRUSZENIA.

Najpiękniejszym objawem duszy ludzkiej są wzruszenia, oczywiście nie poziome lecz podniosłe. Czy miasto nawskroś przesiąknięte życiem realnem, oschłem, szarem, może mieć źródła takich wzruszeń? Czy miasto geszeftów, spekulacji, bankructw podstępnych, pożarów rozszalałych, miasto bandytyzmu, handlu żywym towarem, miasto, do którego z najdalszych stron garną się ludzie nie mający nic już do stracenia,— czy miasto takie może się zdobyć na znaczne zastępy ludzi zdolnych do podniosłych, głębokich wzruszeń?


Ignacy Paderewski.

Fakty niezwykłe, nie codzienne w ostatnich dniach tygodnia świątecznego dowiodły nam, że miasto takie jak Łódź może się zdobyć na źródło głębokich podniosłych wzruszeń i może dać zastępy ludzi wrażliwych, zapalnych, entuzjastycznych.

Arcymistrzem, który dostarczył takich wzruszeń i ściągnął znaczne zastępy ludzi wrażliwych, był Ignacy Paderewski. Dnia 25 marca Łódź miała niezwykłą uroczystość. Paderewski dał koncert. Wysnuł z swej duszy całe bogactwo pieśni i poezji. Człowiek genjalny przemówił przedziwną harmonją tonów do sali przepełnionej. A powitano go, jak się wita ludzi dostojnych. Gdy mistrz wszedł na estradę, publiczność w strojach balowych wstała z miejsc. Zerwał się huragan oklasków, estradę zasypano kwiatami.

Czy ta publiczność była zdolną do analizy pieśni—poezji? Czy byli zdolni do tego krytycy w pismach? Taka analiza—to profanacja. Co do głębi porusza, co wywołuje łzy, co przepełnia duszę nadmiarem najwyższego, niewytłumaczonego czaru,—to nie może podlegać analizie— silne wrażenia wystarczają za wszystko. Z duszy Paderewskiego płynie pieśń, której się nigdy nie zapomina.

Ale Paderewskiego witano nietylko jako arcymistrza pieśni—poezji. Witano go także jako wielkiego obywatela i patrjotę, który umiłował swoją ziemię, swój naród i jego przeszłość. Łodzianie złożyli Paderewskiemu opatrzony setkami podpisów adres następującej treści:

„Jako wielki artysta, roznosisz sławę imienia polskiego po szerokim świecie, z czego dumni jesteśmy.

Jako dobry Syn Ojczyzny, z królewską hojnością darzysz nasz naród czynami swoimi. Umiałeś połączyć duszę wielkiego artysty z sercem i rozumem dobrego obywatela kraju. Pragnąc zespolić się z narodem całym, wzamian wielkich Twych zasług, wyrażamy Ci, Czcigodny Panie, cześć i hołd głęboki".

Adres ten, napisany na pergaminie, wręczyli Paderewskiemu pp. dyrektor Edward Wagner, dyr. Gajewicz, Stanisławski, rejent Łada i baron Manteufel.

Głośno mówią w Łodzi o dokonanym bojkocie Paderewskiego przez żydów i niemców — hakatystów... Bojkotu tego, w sali przepełnionej wielki mistrz nie odczuł i może nawet nic o nim nie wie. Cały świat cywilizowany czci w nim mistrza, a dowodem tego było entuzjastyczne przyjęcie Paderewskiego na koncercie w Berlinie, w przeszłym roku, pomimo że Niemcy mieli jeszcze świeżo w pamięci pomnik grunwaldzki. Wiemy, że są w Łodzi zarówno Żydzi, jak i Niemcy, co potrafią się wznieść na te wyżyny, na których oprócz sztuki nic nie widzą, którzy rozumują i czują, że wielki talent, wielka duchowa siła twórcza jest własnością świata i stoi ponad wszystkiem. Nie dziwimy się, że w Łodzi znaczna większość przejęta uczuciem odwetu, nie może wznieść się ponad wszystko. Dziwilibyśmy się bardzo, gdyby było inaczej...

* * *

Innych wzruszeń pewnym zastępom publiczności łódzkiej dostarczył Lorentowicz czterema odczytami o Żeromskim. Niezwykłe to były odczyty i niezwykłe zainteresowanie się nimi. Głęboki, niepospolity znawca literatury, wytworny estetyk i psycholog, przytem człowiek, zdolny do głębokiego odczuwania wszelkich drgnień zbiorowych, wykwintny w stylu—połączył w sobie te wszystkie zalety, jakie są wymagane od najlepszych prelegentów. Odczyty Lorentowicza o Żeromskim odbiegały od szablonu i przeciętności. Były to piękne studja, przytem nie suche nie protokularne, jakie najczęściej cechują historyków literatury, ale też nie przesadne, nie obliczone na efekt, na zainteresowanie przeciętnej publiczności. Lorentowicz wystąpił tym razem jako tłumacz twórczości i ideałów wielkiego pisarza.

To też odczyty Lorentowicza nie były rozrywką dla publiczności, nie były sposobnością przyjemnego spędzenia godziny w sali. Były to wykłady, z których każdy słuchacz, nawet zna-

jący utwory Żeromskiego, wyniósł wielką korzyść dla siebie. Ci zaś, którzy nie mieli dotąd sposobności poznać wszystkich utworów naszego pisarza, niewątpliwie po odczytach Lorentowicza postarają się niebawem to uczynić.

Zasługą Lorentowicza jest jeszcze to, że potrafił wydobyć z głębi i podkreślić te najpiękniejsze idee i ideały, te obrazy, które szczerze i głęboko każdego wzruszyć mogą.

* * *

Słońce wiosenne zalało swym blaskiem wszystkie zakątki, wszystkie rudery przedmieścia. Zajrzało przez szyby brudne do ponurych i ciasnych izb, tym razem pustych i cichych, bo każdy kto mógł, korzystając z pogody i święta uroczystego, pośpieszył na ulicę lub do lasku poblizkiego i w pole. Na ulicach gwarno, tłumy odświętnie ubrane przeciągają gęsto. Tym razem nawet nędzarzom czoła się rozchmurzyły. W dniu Zmartwychwstania stłumili w sobie poczucie niedoli.

Ulicami Bałut, śród tłumów świątecznych, przeciskało się pośpiesznie dwuch młodych ludzi, od czasu do czasu oglądając się nieznacznie po za siebie.

— Jak ci się zdaje, Stachu, czy dostaniemy się do starego szczęśliwca? Czy nas nie tropią?

— Nie bój się, Józiek! Śród tylu ludu chyba tropić nie będą...

— Stachu! coś mi się nie bardzo podobają te dwa strabancle, co tam stoją;—rzekł młodszy, przechodząc koło poczekalni tramwajów zgierskich.

— Nie bój się, mówię ci, zgubią nas śród ludzi i strzelać nie będą, boby niewinnych postrzelali...

— Stój! ręce do góry! — nagle rozległ się głos.

Młodzi ludzie drgnęli i naraz rzucili się naprzód, torując sobie drogę pięściami w tłumie. Na ul. Zgierskiej wpadli do dorożki i kazali jechać co koń wyskoczy. Ścigający, przedostawszy się przez tłum na ul. Stefana, rozpoczęli strzelaninę. Gdy dorożka wjechała na ul. Nowy-Świat, starszy zawołał:

— Chałupa starego! Nogujmy, bracie do niej!

Wyskoczyli z dorożki, wpadli do domu, zabarykadowali się i stamtąd rozpoczęli ogień. Wkrótce policja urządziła formalne oblężenie i kanonadę. Oblężeni nie widząc żadnego ratunku, wybiegli w pole a za nimi posypały się kule. Stach padł pod niemi trupem, Józiek raniony poddał się.

Na miejscu porażki zebrał się tłum.

— Co to za jedni?

— Nie wiecie?! przecież to bracia Kranieccy, znani bandyci uciekinierzy z katorgi. Przecież każdy o nich wiedział, ale każdy milczał, bo się bał zemsty! A ta chałupa, gdzie się bronili? Toć to oni sami kupili ją z „zarobionych“ pieniędzy dla swego ojca. Stary czekał na nich ze święconem i nie doczekał się!...

Powoli tłum pełen wrażeń i wzruszeń, zaczął się rozpraszać.

Rannego Józefa, po opatrzeniu przez pogotowie ratunkowe, zawieziono do więzienia przy ul. Długiej. Ciało zabitego Stanisława złożono w kostnicy przy szpitalu św. Aleksandra.

Łódź w dzień Zmartwychwstania pozbyła się dwu bandytów i wzbogaciła się o jedno złudzenie spokoju.

Zenon Pietkiewicz.

Rozpoczęcie sezonu.

Liczne rzesze robotników bez pracy z upragnieniem oczekiwały sezonu budowlanego, który nareszcie rozpoczęto dn. 26 marca. Wobec łagodnego końca zimy, sezon ten mógł być przyspieszony o parę tygodni, co oczywiście wyszłoby na korzyść ludzi bez chleba. Niestety! Koło maszyny formalistycznej zwykle się toczy powoli i musi iść wyżłobioną drogą. Trudno było się spodziewać w tym wypadku zmiany owej drogi. W każdym razie dobrze się stało, że już roboty się rozpoczęły a ożywienie, które odrazu zapanowało, każe przypuszczać, że ruch budowlany w roku bieżącym będzie niezwykły, co jest objawem pod każdym względem wielce pomyślnym. Przedewszystkiem spora rzesza ludzi znajdzie pracę zarobkową, następnie zaś przybędzie dużo nowych domów, które chociaż w niewielkim stopniu wpłyną na zniżkę cen mieszkań. W Łodzi są one dotąd bodaj najwyższe na kuli ziemskiej. Zaznaczyć przy tem musimy szczegół wielce charakterystyczny, że pewna grupa właścicieli domów w Łodzi postanowiła robić starania o ograniczenie pozwoleń na budowę nowych domów, motywując swoje zabiegi właśnie tem, że ruch budowlany wpłynie na niepożądaną dla nich zniżkę cen mieszkań. Trudno chyba o bardziej naiwne zabiegi.

Możliwie największe ożywienie ruchu budowlanego, jak również możliwie największa liczba pozwoleń na nowe budowle, jest ze wszechmiar pożądanem zjawiskiem ekonomicznem. Oprócz bowiem dostarczania pracy robotnikom i udostępnienia mieszkań, wpływa on na ożywienie przemysłu cegielnianego i wiele innych gałęzi pomocniczych. Przy wznoszeniu domów i wszelkich innych budowli, mają zarobek nie tylko mularze, ale rzemieślnicy licznych gałęzi. Wzrost produkcji cegieł daje pracę setkom ludzi, dostawa materjałów budowlanych również ułatwia zarobek licznym rzeszom. To też egoistyczne zakusy pewnej grupy kamieniczników, usiłujących utrzymać kosztem zahamowania ruchu budowlanego, wysokie ceny mieszkań jest wprost szkodnictwem, które musi otrzymać należytą odprawę.

Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia i potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza, **Łódź, Inżynierska l.**

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

12)

Czarny chleb.

Chłop przykucnął na ziemi i zaczął ryby skrobać; uśmiechnął się.

— My z tym panem rybaki. Z jego sprawy ułowiłem takiego szczupaka pod żelaznym mostem, że będę miał chleba na wszystkie moje lata.

— I pszczołami osiedlisz wszystkie drzewa w borze! — dodał wesoło gość.

— Jak pan ze mną pobędzie, to i pan się rozmiłuje w pasiece.

— To ty myślisz tę sielankę długo uprawiać? — Zaśmiał się nowoprzybyły.

— Na razie — do jutra — ale czuję, że tu wrócę. Jutro, Symonie, dostawisz nas do dworu.

— Do dworu? — zdziwił się chłop. Toć panom bliżej do żelaznej drogi — do stacji. Do dworu to teraz ciężko się dostać. Trza płynąć — a potem długo brodzić po bagnach. Nie wiem czy panowie potrafią.

— Ano — trudno. Muszę być we dworze. Chcę poznać ten wasz dwór — i pana.

Pana to niema. Nikt jego nie zna. On powiadają, niespełna rozumu.

— Jakto? Kto powiada?

— Tak żydy gadają. Bo to trzyma komisarza, co go kradnie, fałszywe rachunki podaje, sam się bogaci — a on nigdy ni sprawdzi — ni zajrzy, ni się dowie. To jakże. Taki co o swoje nie dba, swego nie pilnuje — to jeśli nie dureń — to chyba „kręcony“.

— No, a dlaczegoż nie dureń?

— Dziad jego — stary pan — bardzo dobry i mądry był — to skądże mu durniem być.

— Znałeś starego pana?

— Jeszczeby nie! Jego każdy znał, ze wszystkich dziesięciu wiosek co do skarbu należą.

Bywało jedzie od folwarku. Po drodze bystro — a przez wsie to stępa. Miał takiego ryżego źrebca i sam się powoził. Strasznie za porządkiem patrzał. Jak zobaczył dziurę w płocie albo w strzesze, albo chude bydlę, albo dziecko porzucone na ulicy, albo babę brudną, albo świnię w ogrodzie, albo chłopa w podartej siermiędze, to stawał i łajał — a głos miał jakby buhaj ryczał. A takie miał oko gospodarskie, że wszystko dojrzał, a taką pamięć, że sznury chłopskie znał czyje — to jak gdzie było źle zrobione to nie darował i gospodarza wyszukał i nasobaczył — ile wlazło.

A bywało w niedzielę czy święto — jak naród na ulicy siedział i gadał — to przystanął przy gromadzie, fajkę zapalił i gadał a najbardziej to łajał — z całego tygodnia przypomniał — co komu było warto.

A czasem dobry bywał — a już najbardziej, jak kto sad założył — albo drzewa przy ulicy posadził — to wtedy i srebrnego rubla dał, a że w koniach się kochał — to źrebce darmo dawał — a za źrebięta wychowane gościńca jeszcze dodał. To też po nim dotąd — drzewa dzikiego i sadów pełno po naszych wsiach — a konie dotąd na okolice szeroko nasze się sławią. Ojciec rodzony był dla mnie. Mnie było ośmnaście roków jak pomarł — ale jak dziś pamiętam — pochów.

Tego dnia, żeby kto do wsi zaszedł, toby myślał, że naród wymarł — żywa dusza w chatach nie zostało. Ze dworu do grobów będzie wiorst pięć — ludzie trumnę nieśli, choć jesień była późna i błoto po kolana, a za trumną szli wszyscy i nie było takiego coby nie płakał. Wiedzieli po kim płaczą i po czem. Pana stracili i dwór stracili. Żeby mu syn ostał, możeby stary ład się uchował — ale panienka jedna była. Zaraz ją gdzieś wywieźli — za cudzego się wydała.

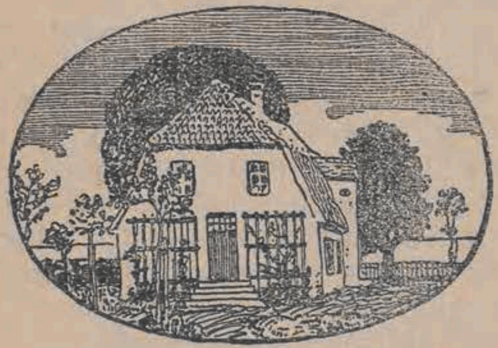
Co wart prystupa cudzy w chacie, a tem bardziej we dworze. Kobieta, wiadomo, za chłopem idzie, gdzieby nie był — tak i nasza panienka poszła. Mówią, że prystupa bogaty był, że dla niego Polanowski skarb, to futor! Nie może to być — ale tak gadają.

— A ten wuuk „kręcony" — nie był u was nigdy? Słyszałem, że na polowanie na głuszce tu kiedyś był.

— Jakie to bycie! Żeby on krowy i konie obejrzał — toby gospodarz był. Co jemu głuszce! Żeby on obławę na komisarzowe sprawki zrobił — toby on był myśliwy.

— Powiem mu tę twoją radę.

(dok. nast.)



11)

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

BOHATER.

POWIEŚĆ.

— Choroba zaprzepaszczona, klął na dole jakiś żołnierz.

— Czego się drzesz, mucu? — krzyknął głos inny.

— Zęby mię bolą.

— To cierp, a ludziom spać nie przeszkadzaj. Jutro ci je kobyła kopytem wygwizda.

I znowu cisza. Koło stodoły rozległy się miarowe kroki i słowa cichej komendy.

— Dwójkami w lewo — marsz.

Są w tym obozie ludzie, którzy czuwają. I tam na skraju lasu, osypanego śniegiem, zobaczyła tego, ku któremu tyle miesięcy rwała się jej dusza, o którego drżała podczas innych nocy bezsennych. I teraz biedak ten czuwa. Widziała, jak przed godziną szykował dwójkami ludzi, rozprowadzając w lesie pikiety.

— Jaśku mój!

Tu znowu przypomniała sobie, jak imieniem tem matka wołała na najmłodsze i najukochańsze swe dziecko.

— Jaśku mój! I myśli jej pobiegły po ośnieżonych obszarach, aż hen ku Moskwie, za Moskwę — — w te bezmierne przestrzenie lodowe, zarzucone ciałami poległych bohaterów.

— Biedne dziecko...

Szarpana temi bolesnemi myślami, uczuła przypływ rzewności i łzy kropliste spłynęły z jej oczu, przynosząc jakby ulgę. Pozwoliła im płynąć dowoli. Wtuliła się w siano i uczuła ciepło, spoczywającej obok Żubrowej. Jeszcze jeden strumień tkliwości dla tej kobiety bohaterskiej zalał jej serce...

Wyczerpana migotliwem przewijaniem się przez duszę uczuć i obrazów, zasnęła.

Zbudził ją cichy szept:

— Joasiu, Joasiu!

W otworze strychu na tle szarzejącego już nieba widniała głowa w wojskowym kaszkiecie.

Żubrowa podniosła się z posłania.

— Maciuś!

— Ja córuchno. Ruszamy za pół godziny. —

Sierżant Żubrowa przyczołgała się na czworakach do otworu i panu porucznikowi dała serdecznego całusa na dzień dobry.

W obozie ruch się już zaczął ożywiony. Trąbiono wsiadanego. Biły bębny. Niektóre oddziały piesze wychodziły w awangardzie w marsz ku Sejnom.

Książę Wódz naczelny przyciągnął ze swoim sztabem i zajmuje właśnie kwaterę w chacie leśnika.

— Chory nasz Wódz, kończy porucznik, ale poznać tego po sobie nie daje. No, a jakże twoja panienka, zmienił wreszcie ton mowy — jakże nie skapiało ci delikatne kurczątko, na żołnierskiej kwaterze?

Panna Krystyna, słysząc, że o niej mowa, odezwała się ze swojej ciemnej kryjówki.

— Dobrze mi było, dzięki gościnności pańskiej małżonki, panie poruczniku. Niewygody jednej takiej nocy nie są jeszcze nieszczęściem. Kiedy pomyślę o was wszystkich, doprawdy wstyd mi, że o moich niewygodach chcecie jeszcze mówić.

— Ano, żołnierzom nie nowina przespać się bez pierzyny i bez piernatu, zakończyła sentencjonalnie rozmowę sierżant

Żubrowa i, chwyciwszy przez dziurę w dachu garść śniegu, przetarła twarz i ręce.

Tak kobieta — żołnierz załatwiała się ze swoją ranną tualetą.

V

Książę Józef blady był, snadź cierpiący i zmęczony, ale trzymał się ostro w postawie. Starannie wygolony, uczesany, wypiękniony jakby wystąpić miał na balu lub na paradzie.

Tak to ten rycerz nad rycerze, choć przecie nie młodzik, bo już mu się na piąty krzyżyk obrócić miało, znosił tęgo trudy i niewygody wojny. Zapewne, wszyscy do najwyższych generałów śpieszyli naczelnemu wodzowi z pomocą i ułatwieniem w cięższkich chwilach. Zapewne, choć on przeciw temu protestował najgoręcej, ustępowali mu najwygodniejszych legowisk na noclegach i najsmaczniejszych kąsków z kotła, nie mniej przecież Książę na równi z innymi znosił głód, chłód i niewygody. Wspólnie z żołnierzami jadał na biwakach, przyprażoną na ogniu a prochem zaprawioną koninę i stawał we froncie na czele szeregów, podczas trzaskającego mrozu. Własnem poświęceniem i wytrwałością zdumiewał najbardziej zahartowanych w boju wiarusów. Ot i teraz zasiadł ze sztabem swoim dokoła ogniska i spożywa obozowe śniadanie bez burgunda i srebrnej zastawy stołowej.

Panna Krystyna po raz wtóry ujrzała oblicze bohatera. Wydał jej się teraz jeszcze bardziej piękny i bardziej promienny niż wtedy w wileńskim salonie. Matowa bladość jego twarzy miała w sobie coś niezwykle pociągającego.

Książę wstał z kłody, na której przed ogniskiem siedział i uprzejmie witał przybyłą.

Wyraziła mu chęć zabrania do domu chorego brata, a wraz z nim kilku innych najbardziej potrzebujących pomocy.

Książę przyjął p r o p o z y c j ę życzliwie i, zwracając się do jednego z adjutantów, kazał natychmiast przygotować formalny urlop dla porucznika Rytwiana. Przyczem z wielkiem uznaniem mówił o waleczności jego i poczuciu obowiązku a także o niepospolitych zdolnościach wojskowych poległego brata, kapitana Augusta Rytwiana.

— Był to oficer wielkich nadziei, kończył z westchnieniem, i doprawdy szczerze z niego waćpanna dumna być może — poległ w oczach całego wojska, okrywszy się wiekopomną chwałą.

— Mam jeszcze w wojsku trzeciego brata, powiedziała nieśmiało.

— W jakiej broni? w jakiej szarży?

— Nie wiem, mości Książę. Chłopiec miał lat zaledwie szesnaście. Mógł służyć, jako prosty szeregowiec.

Książę zwrócił się do oficerów —

— Zechciejcie, panowie, przepytać się w szeregach o tego młodzieńca.

W tej chwili rozmowę przerwało przybycie nowomianowanego adjutanta.

Przyjechał na znędzonej włochatej szkapie kozackiej a tak małej, że rzekłbyś, jego długie, ułańskie nogi wlokły się po ziemi.

Książę, ujrzawszy go, nie mógł powstrzymać się od śmiechu i zanim oficer zdążył się zameldować, wołał:

— Ha, ha, mości poruczniku, czyż to na tym chmyzie szarżowałeś pod Woronowem, za co ile wiem dostał ci się złoty krzyżyk?

— Mości Książę, niestety koń, co mię niósł w tej przeprawie, i w innych—przedziwny koń, przyjaciel nieprzepłacony, klacz wielkiej rasy i cnoty swoim ścierwem ryby tuczy w Berezynie. Tego chmyza wziąłem sobie po drodze, zsadziwszy zeń kozaka, kiedym w Olicie odebrał Waszej książęcej mości rozkaz stawienia się do sztabu.

— Ha, ha — śmiał się Książę. Będziesz musiał panie poruczniku postarać się co rychlej o innego konia, bo jako adjutantowi wypadnie hasać na kilka mil w promieniu to pewnobyś nie nadążył. Trzymam bardzo, żebyś mi waćpan tę służbę pełnił, jako wiem, żeś już jenerała Fiszera był adjutantem.

— Tak jest, Wasza książęca Mość—do ostatniej chwili. My to z ognia pod Tarutiną rannego jenerała z pułkownikiem Siemiątkowskim na rękach wynieśli, ale niebawem żywota bohaterskiego dokonał.

- Wiem, wiem — niezmierna to strata dla wojska. Nikt, jak on nie umiał utrzymać dyscypliny i ładu w szeregach. I dobrej jesteś szkoły, panie adjutancie, tylko konia szukaj na gwałt, bo trzeba być gotowym na rozjazdy, jako rzekłem w promieniu kilkomilowym.

— Wasza książęca mość, wtrąciła panna Krystyna. U nas w Kraskach jeszcze by się znalazła wierzchówka dla pana porucz-

nika — moja wierzchówka. To niedaleko stąd — myślę: trzy, cztery — wiorsty.

— Doskonale zawołał książę. Porucznik odprowadzi panią i chorego brata z eskortą kilku ułanów i dzięki uprzejmości pani wróci do nas na dzielnym rumaku, bo nie wątpię, dzielny być musi.

Było w głosie księcia coś niewypowiedzianie miękkiego i pociągającego, było w tym głosie, jak zresztą w całem zachowaniu się wodza niezwykła uprzejmość, szczerość i prostota, co jednało mu serca ludzkie.

Panna Krystyna była podbita po tej jednej, krótkiej rozmowie. Książę rzucił na nią czar nieodparty.

Wacław, otrzymawszy urlop formalny, zdecydował się wracać do domu. Usadowił się w saniach obok siostry, już i Marcin miał zaciąć konie, kiedy z za drzew wysunęła się drobna postać oficera piechoty.

— Jasiek! Panna Krystyna, która jeszcze przed chwilą, przed rozmową z księciem upatrywała go między zebranymi oficerami, teraz uczuła jakby wyrzut, że zdecydowała się jechać bez pomówienia z nim.

— Stój — krzyknęła na Marcina.

Ale on sam już poznał narzeczonego panienki.

— O, jak rany boskie kocham, toż to nasz wielmożny pan Grabowski.

Oficer podbiegł do sanek. (d. c. n.)



KAZIMIERZ GLIŃSKI.

59)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Duży kartelusz rozłożył przed sobą — i czekał...

Ksiądz pleban zaczął wyliczać rody Bogorjów, Służków, Górków i Miechowitów — Po każdem nazwisku zapisanem, pan Włodek odejmował dłoń od papieru, mówił:

— Dalej! — i czekał na słowa księdza.

Długi już szereg imion i tytułów czerniał na pergaminie, a jeszcze końca nie było.

— Dalej!.. — mówił pan Włodek —

— Urodzony imć pan Nikodem Smoleński — dyktował ksiądz — —

Wojewoda oderwał palce od skryptu i spojrzał na księdza.

Ksiądz siedział zanurzony w głębokich poręczach krzesła i patrzał przed się, nie zważając na pytające spojrzenie wojewody. Na twarzy Włodka znać było walkę, jaką wiódł z sobą, ale po chwili na karteluszu stanęło nazwisko pana na Smoleniu.

— Dalej!..

— Urodzony imć pan Pełko Jasieniec— ciągnął ksiądz —

Wojewoda drgnął, aż z kałamarza bryzgnął płyn czarny.

Ksiądz się nie poruszył, siedział poważny, milczący i patrzał przed siebie.

— Palce mi odrętwiały — szepnął Włodek — —

Ksiądz milczał.

Wojewoda drżał lekko, oczy mgłą zaszły... Czarna kropla inkaustu spadła na papier i świeciła drobną iskierką odbitego w niej płomyka lampy. Zbliżał, to oddalał pióro od pergaminu. Zbierał, myśli, błądzące gdzieś na dróg rozstajach, ciężką piersią oddychał i znieruchomiał na chwilę... Wreszcie z warg drżących wypłynął szept:

— Bez przebaczenia nie masz przebaczenia... Wszystko odbiegło odemnie, niechże Bóg mój ze mną będzie.

I imię Jasieńca zaczerniało na pergaminie.

Ksiądz podniósł się —

Zrozumiał ten ruch wojewoda... Pochylił czoło, które ksiądz krzyżem naznaczył.

— Panie Szymonie — zwrócił się do Rycia... Oto masz spis gości pogrzebowych.

Dźwignął się i krokiem powolnym wyszedł z komnaty.

Nikt nie śmiał zatrzymywać pana, ni iść za nim. A wojeda mijał komnaty i korytarze, skierował się do sypialni pani Dominiki i stanął przy marach, przy których w łkaniach i jękach tarzała się Perełka.

— Nie godzien jestem dotknąć świętych stóp twoich, Dominisiu — jęknął — nie godzien jestem!.. A ty — do Perełki się zwrócił, nie jęcz — nie szlochaj!.. Ból minie, żal minie — toć prawo świata!.. Umi-

łowałaś pacholę moje... mojego syna, dzieweczko!.. Zastąp mi go — a lżej tak będzie i... mnie — i... tobie!..

Załkał — — śliczną głowę Perełki do piersi swojej przytulając —

I znów się zagłębił w labirynt izb i korytarzy, aż się zatrzymał u drzwi więzienia Jasieńca.

Klucz zgrzytnął — z posępnych marzeń Pełko się zbudził i ujrzał cień wojewody, wyłaniający się przed nim z mroków szarych...

— Duch?.. widmo?.. — wyszeptał — —

— Czem chcesz — jestem, jeno nie tym, czem byłem — — odpowiedział wojewoda— dlatego mówięć: idź, wasze — i pokłoń się zwłokom umarłej. Wyrównały się już szale nasze, jako że nienawidzieć się mamy?.. Pozbawiłem ciebie niegdyś dziewki umiłowanej – ty mi zabiłeś... syna!.. Przychodzę tu— ojciec, by pamięć jego oczyścić... Nie on był zdrajcą — nie on!.. Oto jest winowajca!..

Tu pokazał kartelusz Kukułki...

(dok. nast.)

LUDOWE PIEŚNI NIPPONU

(Z japońskiego).

POCHÓD WIOSNY.

Z cudownym łukiem w białej dłoni
idzie już wiosna uśmiechnięta
i rwie lodowych kajdan pęta
i śnieżny puch zdmuchuje z błoni...

Ziemia, co rudy szczerozłote
kryje w tajnikach szarych wnętrzy,
znów łono swoje górnie piętrzy
tam, kędy słońce śle pieszczotę.

Wesoło gwiżdżą w leśnej głuszy
ptaki—wiosennych dni minstrele,
i słowik sypie już swe trele
pośród zakwitłej biało gruszy.

A po jeziora srebrnej toni
do pogrążonych w śnie wybrzeży
gwarliwa fala tęsknie bieży
i pieśń nowego życia dzwoni...

O, jak rozkosznie oddychamy!...
Znikają bóle, łzy i znoje,
wiosna rozwiera swe podwoje
i upojnego szczęścia bramy.

I wszyscy śmieją się radośnie,
pełni nadziei i tęsknoty,
bo na cierpienia i zgryzoty
lek czarodziejski znajdą w wiośnie...

PRZYŚPIEWY WIOSENNE.

Wiosna... ach, cudne dnie!
Znów marzę dziś, znów śnię,
zaszemrał w górach strumień wązki,
wichr strącił biały pąk z gałązki.

Woń płynie z pól i łąk,
wszystko się młodzi wkrąg,
lecz ja starzeję się co roku,
i blask zamiera w bladem oku.

Zawczasu zerwij kwiat,
bo później, choćbyś rad,
próżno go szukać będziesz wkoło,
smutek ci chmurzyć pocznie czoło.

Ach, mój ponsowy kwiat
dawno już zwiądł i zbladł,
ból i niepokój sercem targa,
z ust zimnych głucha leci skarga.

Ugujzu,) czemu znów*
dzień mi wspominasz ów,
gdym w twe kukanie wierzył jeszcze?
. . . .
Dziś się wspomnieniem jeno pieszczę...

Remigjusz Kwiatkowski.

*) Kukułka.



JACK LONDON.

ŻAUFANIE.

(Z angielskiego).

— Będziemy ciągnęli losy!

— Naturalnie!

I jeden z mężczyzn zwrócił się do indjanina, który w kącie zajęty był naprawą łyżew:

— Billebadau! — rzekł, — poskocz co tchu do zagrody Olesona i poproś go o pożyczenie kości do gry.

Ten dziwny zwrot, który tak mało miał wspólnego z toczącą się rozmową, gdzie roztrząsano kwestję płacy robotnika, pożywienia i t. d. zdziwił Billebadaua, bo dzień zaledwie wschodził, a ludzie w rodzaju Peutfielda i Hutchinsona grają w kości dopiero po skończonej pracy, lecz pozostał biernym, jak przystało indjaninowi z Jukonu i wyszedł, nakładając ciepłe rękawice. Jakkolwiek dochodziła już ósma, na dworze panowała ciemność, a izba zaledwie że oświetlona była świeczką, osadzoną w pustej butelce. Dokoła wszystko piętrzyło się w nieładzie, stół zawalony był rupieciami, w głębi stały nieposłane jeszcze improwizowane łóżka.

Jerzy Peutfield i Harry Hutchinson byli miljonerami, choć mieli wygląd drwali. Chata ich znajdowała się w okolicy, gdzie ludzie za cenę piętnastu dolarów dziennie, odgrzebywali piasek, w poszukiwaniu złota.

W ten sposób wzrastały miljony Peutfielda i Hutchinsona, stawiając ich w rzędzie nababów.

Peutfield, po odejściu Billebadaua, odsunął talerze rozstawione na stole i jął w wolnej przestrzeni torować drogę palcami, podczas gdy Hutchinson równał knot palącej się świecy.

— Dałbym dużo za to, gdybyśmy mogli jechać razem, — rzekł nagle. — W ten sposób wszystko ułożyłoby się z łatwością.

Peutfield obrzucił go rozpaczliwem spojrzeniem.

— Gdyby nie twój przeklęty upór, — dowodził, — załatwiłoby się rzecz należycie, a na przyszły rok mógłbym wyruszyć z kolei.

— I poco, właściwie?.. Nikt na mnie nie czeka, tak jak na ciebie, — bronił się Hutchinson.

— A rodzina? — przerwał mu Peutfield.

— Ba, — mruknął nagabywany, — ale ty wszak masz narzeczoną, której ja nie posiadam.

Peutfield ruszył ramionami.

— Poczeka, — rzekł.

— O ile wiem, czyni to już od dwuch lat.

— Rok dłużej nie stanowi.

— Będzie zatem trzy lata, jak tu tkwimy. Pomyśl przyjacielu, taki długi przeciąg czasu w tem piekle, opuszczeni przez Boga i ludzi!

I Hutchinson rozpaczliwie wzniósł ręce do nieba.

Wydawał się nieco młodszy od towarzysza, mógł liczyć lat dwadzieścia sześć. Cała jego podstawa, podobnie jak i osoba Peutfielda wyrażała gorące i nienasycone pożądanie.

— Śniło mi się, że byłem w jadłodajni — zaczął, — muzyka grała, dokoła rozlegały się głosy, śmiech kobiet, zamówiłem sobie jaja w różnej postaci, gotowane, smażone, sadzone i spożywałem je kolejno.

— Obstalowałbym raczej sałatę i jarzyny,— krytykował Hutchinson, — dalej porter, cebulki i rzodkiewki chrupiące.

— I ja wpadłbym niezawodnie na ten pomysł, gdybym się nie był obudził, — rzekł Peutfield.

Podniósł z ziemi starą gitarę o zużytych strunach i wziął kilka akordów. Hutchinson zadrżał i westchnął, poczem mitygował przyjaciela, który w nastroju wesołym począł wygrywać jakiegoś walca.

— Przestań, doprowadzasz mnie do szaleństwa, nie mogę słuchać dłużej tej melodji.

Peutfield odrzucił gitarę. Gdy zaś Hutchinson ze smutkiem głowę opuścił na stół, powrócił do pierwotnego swojego zajęcia, to jest począł na nowo zapamiętale bębnić w stół. Nagle drzwi skrzypnęły, zimno przeniknęło do chaty, więc zanucił:

„Wróciły już stada, gałęzie się chylą
I łosoś głębinę tnie morza,
O jakże me serce tęskni za tą chwilą,
Gdy szczęścia połączy nas zorza!“

Poczem na nowo zapanowało milczenie, przerwane nadejściem Billebadaua, który kości wraz z kubkiem rzucił na stół.

— Bardzo zimno, — rzekł łamanym językiem, — Oleson powiedział, że Jukon zamarzł w nocy.

— Czy słyszysz przyjacielu, — zawołał Peutfield, klepiąc po ramieniu Hutchinsona, — ten z nas, który wygra, będzie mógł już jutro rano wyruszyć w błogosławioną drogę.

Tu podniósł kubek i wstrząsnął nim energicznie.

— Jak gramy? — zapytał.

— Cyframi pokiera, — odparł Hutchinson, — rzucaj pierwszy.

Peutfield spełnił polecenie i obaj mężczyźni pochylili się nad stołem. Tym razem wyszło pięć bez pary.

— Na nic — zamruczał Peutfield.

Po chwili namysłu zebrał ponownie kości i włożył je do kubka.

— Radzę dobrze potrząsnąć, — wtrącił Hutchinson.

Nastąpiło kilka rzutów, które przyprawiły mężczyzn niemal że o palpitację serca, nagle Peutfield gwałtownie rozsypał kości. Na stole ukazały się trzy piątki, potem czwarta. Hutchinson stracił resztę nadziei, teraz trzy szóstki wynagrodziły go najzupełniej i dodały mu animuszu. Jeszcze raz, a jeżeli będzie szóstka — czeka go morze i Stany Zjednoczone. Wstrząsnął kośćmi, chciał je rozrzucić, zawahał się jednakże i jął je mieszać ponownie.

— Zlituj się, strawisz nad tem cały dzień,— zawołał Peutfield, którego paznogcie bielały niemal.

Kości się potoczyły i przed oczami mężczyzn ukazała się szóstka. Obaj przyjęli ją głębokiem milczeniem. Wreszcie Hutchinson zaśmiał się nerwowo i lękliwym wzrokiem objął towarzysza, który zaciął wargi, pragnąc zachować zimną krew.

— Wiem wszystko, co mi powiesz, — rzekł Peutfield. — Wolałbyś raczej zostać bylebym ja pojechał? Czy nie tak? Lecz to nie zda się na nic. Masz rodzinę w Detroit, którąś winien odwiedzić, to wystarcza. Zresztą wyręczysz mnie w pewnej sprawie, która jedynie mogłaby mnie skłonić do wyruszenia.

— W jakiej mianowicie? — badał Hutchinson, którego oczy wyrażały myśl łatwą do zrozumienia dla Peutfielda.

— Możesz sprowadzić mi narzeczoną, a wówczas pobierzemy się w Dawson zamiast w San Francisco.

— Dobrze, — bronił się Hutchinson, — lecz czy potrafię to uskutecznić; nie jesteśmy wszak rodzeństwem, i do czego to byłoby podobne wspólnie podróż odbywać. Tyś wyższy po nad to, wiem to dobrze, ale inni...

Hutchinson wyliczał przyjacielowi wszystkie „ale“, Peutfield atoli nie przestawał nalegać.

— Jeżeli tylko zechcesz mnie posłuchać — sam dojdziesz do przekonania, że najlepiej będzie, gdy wyruszysz... Na przyszły rok ja z kolei użyję wakacji!

Pomimo pokusy, Peutfield zaprzeczył głową.

— Nie mój drogi, to daremne. Należycie oceniam twoją szlachetność, lecz to niemożliwe. Wstydziłbym się sam siebie na myśl, że ślęczysz tu zamiast mnie.

Nagle, jakaś nowa idea strzeliła mu do głowy, począł szukać pomiędzy deskami, które zastępowały łóżka, w pośpiechu zrucił wszystko na podłogę, wreszcie natknąwszy się na notes i ołówek, zasiadł przy stole i szybko nakreślił słów kilka.

— Wystarczy, abyś ten świstek wręczył do rąk właściwych, a wszystko będzie w porządku.

Hutchinson przebiegł oczami pismo i położył je na stole.

— Skąd wiesz, że brat jej się zgodzi odbyć tę wstrętną drogę? — zagadnął.

— Zrobi to niewątpliwie dla mnie, no i dla siostry swojej, — odparł Peutfield. — Jest to nowicjusz i w podróży nie mógłbym narzeczonej powierzyć jego pieczy. Lecz wraz z tobą droga będzie łatwa i bezpieczna. Jak tylko przybędziesz, zajdź do mojej damy i niechaj się gotuje do jazdy. Następnie ruszaj na wschód, do rodziny, a na wiosnę, pewien jestem, że moja ukochana z bratem towarzyszyć ci będzie tutaj. Gdy ją poznasz, ocenisz jak należy.

To mówiąc, otworzył mechanizm zegarka i wskazał przyjacielowi fotografję dziewczyny, której Hutchinson przyglądał się z podziwem.

— Na imię jej Mabel, — ciągnął Peutfield. Odwiedź ją niezwłocznie po przybyciu do San Francisko. Najlepiej wprost z dworca weź dorożkę i każ się zawiść na Myrdon Avenue, zresztą adres jest zbyteczny. Każde dziecko wie, gdzie mieszka sędzia Holmes... Prócz tego wcale byłoby nieźle — ciągnął dalej Peutfield, — gdybyś mi tak przywiózł kilka drobnostek.

— Rozumie się, potrzebne są one człowiekowi żonatemu do gospodarstwa, — wtrącił żartobliwie Hutchinson.

Teraz Peutfield uśmiechnął się z kolei.

— Naturalnie, serwetki, obrusy, powłoczki i t. p. Mógłbyś też dołączyć jakiś serwis porcelanowy i wszystko to razem przesłać statkiem parowym z morza Berynga.

— A gdyby tak sprowadzić fortepian w dodatku?

Hutchinson z zapałem przyklasnął tej idei, niechęć jego prysła, entuzjazmował się przyszłem posłannictwem.

— Przysięgam ci, Jerzy, — rzekł, podnosząc się z godnością, — że z przepychem przywiozę ci narzeczoną. Sam zajmę się kuchnią i psami, całe zadanie brata zasadzać się będzie na przypilnowywaniu mnie i przypominaniu o tem, o czem zapomnę. Lecz i w tym wypadku licz na mnie.

Nazajutrz Jerzy Peutfield ściskał dłoń towarzysza, który otoczony psami, puszczał się po zamarzniętej rzece w kierunku morza i cywilizacji. Poczem samotny już wrócił do chaty i postanowił całemi siłami panować nad swoim smutkiem w ciągu długiej zimy.

Pracy było dosyć. Należało pilnować ludzi, dowodzić nimi, wskazywać w jaki sposób dotrzeć do jądra kapryśnego minerału — to wszystko atoli teraz wydawało mu się pozbawione wagi. Chęć do pracy wróciła mu dopiero wówczas, gdy wystrzeliła niby z pod ziemi wykwintna siedziba mieszkalna, zbudowana z drewnianych kloców i rozdzielona na trzy izby. Każda sztuka drzewa z osobna cięta była i ciosana,

a owa fantazja miljonera kosztowała niezmiernie dużo, bowiem drwale brali po piętnaście dolarów dziennie, lecz nie istniało nic drogiego dla Peutfielda, gdy szło o dom przeznaczony na przyjęcie narzeczonej. Od rana też do nocy kręcił się dokoła nowej budowli, nucąc: „O moje kochanie, jakżebym pragnął być już z tobą!“

Każdy też dzień zaczynał od tego, że z kalendarza ściennego zdzierał kartkę, licząc ile też jeszcze czasu upłynie do powrotu towarzysza, przyczem szczelnie zamykał nowozbudowane locum, aby nikt obecnością swoją nie splamił przybytku, który chciał zachować w stanie dziewiczym, że tak powiem, do chwili przybycia narzeczonej. Sam zaś spędzał tam długie na dumaniu godziny i wychodził z twarzą rozpromienioną.

W grudniu nadszedł list od Hutchinsona, który donosił, że odwiedził pannę Holmes i przekonał się, że jest uosobieniem przymiotów, jakie przystoją małżonce Jerzego Peutfielda.

Peutfield z radością powitał tę wiadomość jak inne, które następowały kolejno. Zdarzało się nawet, że otrzymywał po dwie i po trzy jedną pocztą, a wszystkie kreślone były w tym samym duchu. Harry podążał na Myrdon Avenue, był tam lub pisał stamtąd. Peutfield nawet znajdował, że pobyt przyjaciela w San Francisco zbytnio się przeciąga i miarkował jakoby ten ostatni zarzucił plan wyprawy do Detroit.

Znając przyjaciela i narzeczoną, nieskory był do zazdrości. Z drugiej strony listy Mabel pełne były uniesień nad Harrym, a przebijała z nich pewna wstrzemięźliwość, co do przedsięwzięcia owej podróży wśród lodów, mającej się zakończyć małżeństwem w Dawson.

Peutfield odpowiadał na nie wesoło, wyśmiewając się z jej obaw, które przypisywał raczej trwodze fizycznej i przewidywanym brakiem wygód, jak skromności dziewczyny.

Długa zima oraz denerwujące oczekiwanie, poprzedzone tęsknotą dwuch długich lat, wyczerpało moralnie samotnika. Nadzorowanie ludzi i formalność płacenia przestały wyłącznie go zajmować. W końcu stycznia począł odbywać częste podróże do Dawson, aby w grze szukać zapomnienia.

Ponieważ strata była dlań obojętna, wygrywał bezustannie, a szczęście Peutfielda stało się przysłowiowe. Powodzenie sprzyjało mu aż do połowy lutego, możeby i towarzyszyło mu dłużej, gdyby nie to, że po znacznej wygranej zaniechał kart zupełnie.

Działo się to w przybytku gry, zwanym domem „Opery“. Od godziny niemal wychodziły wszystkie karty, na które stawiał Jerzy. Korzystając z chwilowej zwłoki przy końcu partji, podczas gdy bankier zajęty był tasowaniem, właściciel zakładu Nick Inwood rzekł niespodzianie do Peutfielda:

— Wspólnik twój, Peutfieldzie, niczego sobie nie odmawia.

— Gdy chodzi o miłe spędzenie czasu, najzupełniej można mu zaufać, — odparł Peutfield.

— Każdy wie najlepiej co robi, lecz co może mieć małżeństwo z tem wspólnego.

— Co, Harry żonaty, — zawołał Peutfield z powątpiewaniem i ze zdziwieniem jednocześnie.

— To rzecz pewna, czytałem wzmiankę w dzienniku z San Francisko, który dotarł tutaj po przez lód.

— Kim bo jest młoda małżonka, — pytał Peutfield tonem drwiącym.

Inwood wyciągnął gazetę z kieszeni i musnąwszy ją okiem odparł:

Nie mam zbyt dobrej pamięci i nie przypominam sobie dokładnie... Było coś Mabel... Mabel... już wiem: Mabel Holmes, córka sędziego.

Jerzy skamieniał na dźwięk tego imienia w ustach mieszkańca północy. Rozejrzał się po twarzach otaczających go ludzi, ażeby dojść do jądra tego niesmacznego, jak przypuszczał, żartu, lecz znalazł tam jedynie oznaki ciekawości.

Odwrócił się tedy do krupiera i rzekł obojętnie:

— Słuchaj Inwood, owe pięćset dolarów, które leżę przedemną, będą do ciebie należały, jeżeli w tym dzienniku stoi coś podobnego.

Zagadnięty spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Milcz naiwny, nie chciałbym tak łatwo zdobyć twoich pieniędzy.

I ja tak sądzę, — odparł Peutfield z pogardą i powrócił do stołu.

Nick Inwood zaczerwienił się mocno i raz jeszcze uważnie odczytał odnalezioną szpaltę, poczem przystąpił do niedowiarka.

— Słuchaj Peutfieldzie, nie mogę tego puścić płazem.

— Co takiego? — zapytał tamten oschle.

— Posądzasz mnie o kłamstwo.

— Bynajmniej, dałem ci tylko do zrozumienia, że chciałeś się zabawić moim kosztem.

— Faites vos jeux messieurs, — rozległo się nawoływanie bankiera.

— Kiedy to rzetelna prawda, — upierał się Inwood.

— Bezczelny fałsz, — oburzył się Peutfield, rzucając na stół ciężką kiesę z pieniędzmi. — Jeszcze raz cię zapewniam, że złoto będzie twojem, jeżeli tak jest, jak mówisz.

— Nie wezmę daremnie twoich pieniędzy, — powtórzył Inwood, wkładając Peutfieldowi gazetę do ręki.

Zamarkowawszy sobie dokładnie tytuł dziennika wychodzącego w San Francisko, Peutfield szybko odczytał wzkazaną wzmiankę, całą uwagę swoją skupiając na dwuch połączonych imionach: panny Mabel Holmes i pana Harry Hutchinson.

— Pieniądze są twoje, — rzekł, śmiejąc się nerwowo. — Nie mogłem przewidzieć, jak dalece zagalopuje się mój towarzysz na wolności.

Poczem wolno i uważnie wyraz za wyrazem odczytał doniesienie o ślubie Harrego Hutchinson z panną Mabel Holmes.

Zaczynało się ono od słów:

„Jeden z potentantów Bonaury, wspólnik Jerzego Peutfielda, właściciela bogatych kopalń w Klondyke, znanego w szerokich kołach towarzyskich...“ a kończył się jak następuje: „Państwo Hutchinson po krótkim pobycie w Detroit, zamierzają spędzić miodowe miesiące w Klondyke“.

— Powrócę natychmiast, zachowaj mi pan miejsce,—rzekł Peutfield, podnosząc się i chwytając woreczek, lżejszy teraz o pięćset dolarów.

Wybiegł na ulicę, aby kupić dziennik z Seatle i tam również odnalazł wiadome doniesienie. Nie było wątpliwości, Harry i Mabel się pobrali. Peutfield powrócił do „Opery“ i zajął się na nowo szulerką, nalegając, aby podwyższyć normę stawki.

— Chcesz się odegrać, — zaśmiał się Nick Inwood, dając znak przyzwalający krupierowi.— Miałem wyjść, ale zostanę. Jak widzę hazardujesz się nie na żarty.

W dwie godziny później bankier zapalając papierosa oświadczył, że bank jest rozbity. Peutfield wziął czterdzieści tysięcy dolarów. Na pożegnanie mocno ścisnął dłoń Inwooda, dodając, że po raz ostatni gra tak wysoko i udał się do domu, a nikt nie poznał po nim, jak ciężkie znosi męczarnie. Pozornie nic się nie zmieniło i przez tydzień w dalszym ciągu zajmował się pracą. Lecz pod wpływem artykułu „Gazety Portlandzkiej“, w którym również była mowa o małżeństwie wspólnika, powierzył pieczę nad wydobywaniem kruszczu jednemu z nowych swoich przyjaciół i zebrawszy psy, udał się do Jukonu.

Szedł on biegiem „Rzeki Słonej“, aż do „Rzeki Białej“, gdzie zawrócił. W pięć dni później zbliżał się do obozu indyjskiego. Tegoż jeszcze wieczora brał udział w uroczystościach i siedział u boku wodza, a nazajutrz udał się w drogę powrotną. Lecz tym razem towarzyszyła mu młoda „sgnaw“, która pomagała mu żywić jego psy i ustawiać namiot. Na imię było jej Lashka i od dzieciństwa utykała lekko na jedną nogę, skutkiem rany jaką zadał jej niedźwiedź. Początkowo z niechęcią spoglądała na białego, który zjawił się niewiadomo skąd i pojął ją bez spojrzenia i bez słowa, a teraz pociągał ją za sobą w świat nieznany.

Lecz los Lashki zupełnie się różnił od doli owych indjanek, które wybrane zostały przez białych na północy. Po przybyciu do Dawson, barbarzyński związek łączący oboje, uświęcony został przez księdza.

Z Dawson, które ją olśniło, podążono do kopalni Bonaury i tam młoda para zamieszkała w nowym domku na pagórku.

Małżeństwo Jerzego z indjanką wywarło mniejsze zdziwienie w jego otoczeniu, aniżeli sankcja tegoż przez kościół, lecz nie pozwolono sobie na żadne uwagi w tym względzie. O ile czyny człowieka nie szkodzą interesom ogółu, społeczeństwo zostawia mu zupełną swobodę, nikomu też nie przyszło na myśl, aby kwestjonować przebywanie Peutfielda w chatach, gdzie żony należały do szczepu białych, zwłaszcza, że ślub religijny usuwał wszelkie zarzuty niemoralności. Jedynie mężczyźni wykpiwali gust jego pod względem piękna kobiecego.

(dok. nast.)

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA.

9)

Zazdrosny Estremadurczyk.

(Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław M.)

Z nietłumaczonych dotychczas utworów Cervantesa.

Carrizales jednak, ciągnąc dalej swą przemowę, rzekł:

— Zemsta, jaką na winowajców gotuję, w niczem nie będzie podobna do tych, któremi zazwyczaj takie obelgi bywają karane; chcę bowiem, aby była wyrazem tej samej przesady, której dowód dawałem we wszystkiem, co przedsiębrałem, a mścić się chcę na sobie samym, jako głównym sprawcy tego przewinienia. Bo powinienem był przewidzieć, że młodość piętnastoletniego dziewczęcia nie zniesie brzemienia moich lat osiemdziesięciu i byłem jako jedwabnik, który sam sobie buduje dom, gdzie umrzeć mu przeznaczono. A ciebie nie winię, o dziecię nieopatrzne! (Tu, nachyliwszy się, złożył pocałunek na twarzy Leonory). Ciebie nie winię, mówię, gdyż namowy starej sekutnicy i nalegania zakochanego młodzieńca, bez trudu odniosły zwycięstwo nad tym rozumem jeszcze niedowarzonym, który cechuje lata młode.

I oto, aby wszyscy przekonać się mogli z jaką męską stanowczością i z jaką wiarą niezachwianą cię kochałem, w tych ostatnich chwilach mego życia, chcę dać taki dowód owej miłości, aby czyn mój pozostał na wsze czasy jako przykład jeśli nie dobroci, to niesłychanej, nigdzie niewidzianej prostoty ducha. Chcę tedy, niechaj niezwłocznie przywiodą mi tutaj nota-

rjusza, aby na nowo sporządził mój testament: podwoję w nim wiano, które Leonorze przeznaczyłem i prosić ją będę, aby po mojej śmierci, która rychło nastąpi, w niczem nie hamowała swej woli i zaślubiła, gdyż takie niewątpliwie będzie jej życzenie, owego młodzieńca, którego siwe włosy nieszczęsnego starca nigdy hańbą nie napiętnowały. W ten sposób przekona się ona, że jeśli za życia nigdy na krok nie odstępowałem od tego, co według mego mniemania, mogło dogodzić jej upodobaniom, w oczekiwaniu rychłej śmierci czynię to samo, gdyż chcę, aby szukała szczęścia w pożyciu z człowiekiem, którego tak bardzo musi miłować. Resztę mego mienia zapiszę na różne cele pobożne, wam zaś, mości państwo, pozostawię dość zasobów, abyście mogli bez troski o jutro dni waszych dokonać. Notarjusza niechaj przywiodą bez zwłoki, gdyż ból tak chwyta mię za serce, że czuję, iż życie moje ulata z każdem tchnieniem.

Gdy tych słów domówił, zmogło go okropne omdlenie i osunął się na ziemię tak blizko Leonory, że zetknęły się ich twarze; niezwykły to był i posępny widok dla rodziców, którzy na swą córkę umiłowaną i na zięcia swego patrzyli.

Nie chciała zła ochmistrzyni czekać, aż rodzice Leonory strofować ją zaczną, wysunęła się więc cichaczem z pokoju i poszła powiedzieć Loaysie o wszystkiem, co zaszło. Poradziła mu, aby nie zwlekając ani chwili, dom opuścił, obiecując, że nie omieszka zawiadomić go przez murzyna jak się rzeczy ułożą, gdyż zniknęły teraz drzwi podwójne i klucze, któreby mogły stawać temu na przeszkodzie. Niemało zdumiły Loaysę przyniesione mu przez ochmistrzynię nowiny i, idąc za jej radą, przywdziawszy znowu szaty żebracze, poszedł zdać sprawę swym przyjaciołom z dziwnego a niesłychanego wyniku swych zalotów.

Podczas gdy małżonkowie nasi oboje leżeli bez zmysłów, ojciec Leonory kazał wezwać pewnego notarjusza, którego znał jako swego przyjaciela; ten gdy przybył, oboje, córka i zięć odzyskali już byli przytomność. Carrizales sporządził testament według wyłuszczonego przez się planu, a nic nie wspomniał o przewinieniu Leonory; napisać tylko kazał, że dla uzasadnionych powodów, prosi ją i nalega, aby w razie jego śmierci oddała swą rękę owemu młodzieńcowi, o którym jakoby mówił jej w tajemnicy.

Leonora, gdy to usłyszała, rzuciła się mężowi swemu do nóg (a serce w piersi jej biło straszliwie) i zawołała:

— Żyj długie lata, panie mój, najdroższy ty mój! A choć nie zasłużyłam sobie na to, abyś najmniejszą nawet moim słowom dał wiarę, wiedz, że jeśli wyrządziłam ci obelgę, to myślą tylko, a nie czynem.

Tu chciała usprawiedliwić się i wszystko jak było w istocie szczegółowo opowiedzieć, lecz nie mogła głosu wydobyć i znowu padła zemdlona. Leżącą tak bez czucia ucałował niepocieszony starzec, ucałowali ją rodzice i wszyscy tak rzewnemi zaleli się łzami, że nie mógł powstrzymać się od płaczu nawet notarjusz, który pisał testament. Testamentem owym Carrizales pozostawiał zapewniony wszystkim domownikom wikt dożywotni, obdarzał wolnością niewolnice i murzyna, zaś przewrotnej ochmistrzyni polecał tylko wypłacić zaległe jej wynagrodzenie. Wreszcie, że pominiemy milczeniem pomniejsze wypadki, żałość tak go zmogła, że siódmego dnia zaniesiono go do mogiły.

Pozostała Leonora wdową, łez pełną i bogactw. A gdy Loaysa czekał, aby spełniła co jej mąż w testamencie polecił uczynić, dowiedział się, że w tydzień po jego śmierci wstąpiła jako mniszka do jednego z najbardziej ustronnych klasztorów miasta; on wówczas wzgardzony i zawstydzony niemal, do Indji wyjechał.

Rodzice Leonory pozostali pogrążeni w smutku, choć rychło pocieszyli się na widok bogactw, które im zięć w testamencie zapisał. Pokojówki pocieszyły się tem samem, niewolnice i murzyn — uzyskaną wolnością. I tylko zła ochmistrzyni pozostała w nędzy, zawiedziona we wszystkich swych niecnych nadziejach.

Mnie zaś pozostała chęć dobrnąć co rychlej do końca tego wydarzenia — przykładu i zwierciadła, w którem każdy dojrzy snadnie, jak mało ufać należy kluczom, galerjom krytym i ścianom wzmocnionym, gdy wola ludzka pozostaje wolna; i każdy przekona się, że ieszcze mniej zaufania należy pokładać w latach młodych i umysłach niedowarzonych, gdy powodują się one poszeptami owych ochmistrzyń o czarnej, obcisłej sukni zakonnej i skrzydlatych czepcach białych.

Nie wiem tylko, dla jakiej przyczyny Leonora z większym żarem nie broniła swej sprawy i nie dała do zrozumienia swemu zazdrosnemu mężowi jak czysto i bez plamy wyszła z owej przygody. Ale przestrach zapewne język jej obezwładnił, a mąż tak się ze śmiercią pospieszył, że nie zdążyła nic powiedzieć na swe usprawiedliwienie.

KONIEC.

POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

3)

ROŚLINY WYDZIELAJĄCE GUMĘ.

(Dokończenie).

Guma dragantowa, pęczniejąca w wodzie, ale się w niej nie rozpuszczająca, jest produktem pochodzącym z różnych gatunków *Astragalus*, rosnących w Persji, z których największe znaczenie posiada mały krzak *Astragalus gummifer*.

Ten ostatni znaleziony został w roku 1790 przez *Labirardiera* na górze Libanie, rośnie również w sąsiednich górach Azji Mniejszej i Kurdystanu. W epoce Labirardiera ograniczono się na zbieraniu z pnia większych gałęzi *Astragalusa*—gumy, samej przez się wyciekającej— dziś jednak najlepsze rezultaty otrzymuje się za pomocą nacięć, czynionych na roślinie.

Wydzielanie gumy dragantowej powoduje choroba, która jest powszechna śród tych roślin. Guma, najpierw w stanie płynnym wydostaje się na powierzchnię rośliny i wnet krzepnie na powietrzu.

Zbierający tę gumę mieszkańcy, sprzedają ją handlarzom, którzy następnie odstawiają ją do Smyrny.

Zazwyczaj jest to mieszanina różnych gatunków w postaci kulek, nitek, tafelek o nieskończonej rozmaitości barw i odcieni. W Smyrnie dopiero następuje staranne dzielenie jej na różne gatunki idące do handlu.

Gumę dragantową wywożą również w wielkich ilościach do Konstantynopola, dostarczana tam bywa z Persji i Kurdystanu, przez Bagdad i zatokę Perską.

Z gumą dragantową można zrobić niezwykle ciekawe doświadczenie: wrzucamy kilka jej kawałków do szklanki wody, po kilku godzinach przewracamy szklankę bez obawy wylania jej zawartości, gdyż guma rozpuszczona w wodzie utworzyła ciecz bardzo gęstą o wielkiej spoistości cząsteczek; klej, który w ten sposób można utrzymać służy do najrozmaitszych użytków. Aptekarze używają go zazwyczaj do nadania lekarstwom odpowiedniej gęstości i do wyrobu pastylek i pigułek, a cukiernicy do wyrobu galaret, kremów i t. p. prócz tego używany bywa do wyprawiania skór i wyrobu tkanin i papieru; wchodzi również w skład farb wodnych to zw. akwarelowych.

Przeróżne gatunki rodzaju *Sterculia* dają również gumę dragantową; szczegolniej gatunek zwany przez Uolów *M'Bep*. Guma pochodząca z M'Bep, zebrana świeżo — jest biała, krucha i łatwo dzieląca się na kawałki kanciaste. Smaku nie posiada żadnego, wydziela charakterystyczny zapach kwasu octowego. Gumę M'Bep można łatwo odróżnić od gumy dragontowej przez proste działanie zimnej wody. Przez to samo działanie odróżnia się gumę dragantową od zbliżonych do niej gatunków gumy *Bassora*. Jeżeli włożymy kawałki gum, różnych gatunków, do dziesięciokrotnej na wagę ilości wody, to można zauważyć, że ich zewnętrzne warstwy zaczynają stopniowo galaretowacieć. Odbywa się to bardzo powoli, od powierzchni ku środkowi, w ciągu przynajmniej, dwuch godzin, dopiero po jakichś trzech godzinach podlegają ostatecznemu napęcznieniu, jednocześnie zmieniając swój kształt. Z gumą M'Bep rzecz się ma inaczej: jeżeli włożymy parę kawałków tej gumy do wody — galaretowacenie warstw zewnętrznych odbywa się bardzo prędko. Po dwuch godzinach, kawałki stają się dwadzieścia razy większe, niż przedtem i zamieniają się w rodzaj jasnej galarety, która potem przechodzi w jasny, przezroczysty klej. Niektórzy specjaliści, krajowcy robią z niej użytek do zaprawiania i utrwalania farb, któremi barwią swe chusty, służące do przepasywania bioder.

Gumy, zawierające garbnik, są dotąd mniej zbadane. Wykazują one łatwość szybkiego psucia się. Najwięcej znana jest guma z *Butae*, rośliny bardzo rozpowszechnionej w Indjach *Iterocarpus Marsupium*. Guma ich jest czerwona i używana bywa do przyrządzania środków lekarskich.

Wiele innych gatunków daje produkty zbliżone, lecz te nie posiadają dotąd żadnego zastosowania praktycznego.

H. C.

Podróż na najwyższe szczyty gór

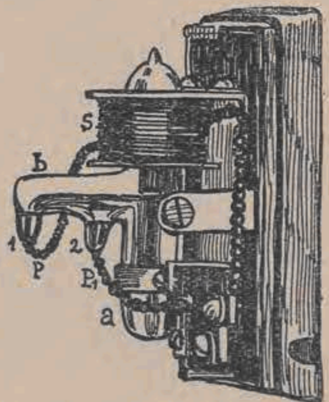
nie będzie stanowiła wkrótce żadnej trudności. Wprawdzie w ostatnich czasach była ona już wogóle bardzo ułatwiona przez kolejki zębate, obecnie jednak poczęto budować t. zw. koleje wiszące, mogące dotrzeć tam, dokąd kolej zębata już dojść nie może. Koleje wiszące przerzucają chętnych wrażeń podróżnych z góry na górę najprostszą i najkrótszą drogą ponad przepaściami i lodowcami w najprędszym możliwie czasie, dając im złudzenie, iż unoszą się ponad górami chyżym lotem ptaka. Tego rodzaju kolejki były dawniej stosowane tylko do przewożenia na krótkich przestrzeniach materjałów budowlanych, towarów, węgli itp. Do przewożenia ludzi i to na tak niezmiernie wielkich wysokościach zastosowano je dopiero obecnie. Są one budowane w Szwajcarji (np. kolejka na Mont-Blanc-Massiv z Chamonix do Aiguille du Midi) i w Tyrolu (niedawno wykończona kolej na Kohlererberg) i składają się z wagonów wiszących na kablach stalowych. Ogólny widok kolejki wiszącej elektrycznej na Mont Blanc i jeden z jej wagonów przedstawiają nasze rysunki. Zbyteczną rzeczą byłoby dodawać, iż w budowie tych nowych dróg, ułatwiających ludziom przebywanie niedostępnych przestrzeni, zastosowano wszelkie możliwe środki bezpieczeństwa nawet w najdrobniejszych szczegółach do tego stopnia, iż podróżowanie kolejkami wiszącemi jest nie mniej bezpieczne jak podróżowanie kolejami zwyczajnemi. W razie zerwania się kabla, którego wytrzymałość przewyższa zresztą dziesięciokrotnie istotnie niezbędną do tego celu, wagon posuwa się w dalszym ciągu po drugim zapasowym (zapasowych kabli jednakowej wytrzymałości jest zwykle kilka); w razie przerwania się prądu, wagon posuwa się dalej, ciągniony linką i t. d. Brak wstrząśnień czyni jazdę tymi wagonami przyjemniejszą od jazdy w zwykłych kolejach.



Podróż na najwyższe szczyty gór. W górze na linach — wagonik.

Kontrola prądu elektrycznego.

Konsumenci prądu elektrycznego płacą za spotrzebowanie tej siły zależnie od warunków bądź od ilości zużytego prądu podług licznika, bądź wnoszą stałą miesięczną opłatę podług umowy zawartej z góry, jak to bywa w niektórych miejscowościach. W tym ostatnim razie niema właściwie żadnej kontroli nad tem, czy maksymalne natężenie stale otrzymywanego prądu nie bywa przez konsumenta przekraczane. Obecnie dopiero skonstruowano przedstawiony na obocznym rysunku przyrząd, mogący nadużyciom pod tym względem zapobiedz. Jest to właściwie przerywacz, złożony głównie z 2 naczyń szklanych, pozbawionych powietrza, z których jedno *a* jest pionowe, drugie *b*, łączące się z niem, poziome; oba zawierają do pewnej wysokości rtęć, a nadto w naczyniu pionowem zanurzony jest w rtęci pręt żelazny, który z tego naczynia wypycha tyle rtęci, iż przez to w naczyniu poziomem dochodzi rtęć do połowy wysokości. Z dna tego poziomego naczynia wychodzą dwie rureczki 1 i 2, u dołu zamknięte i łączące się z przewodnikami *p* i p^1, doprowadzającymi prąd, który od jednego przewodnika do drugiego przebiega przez rtęć w naczy-

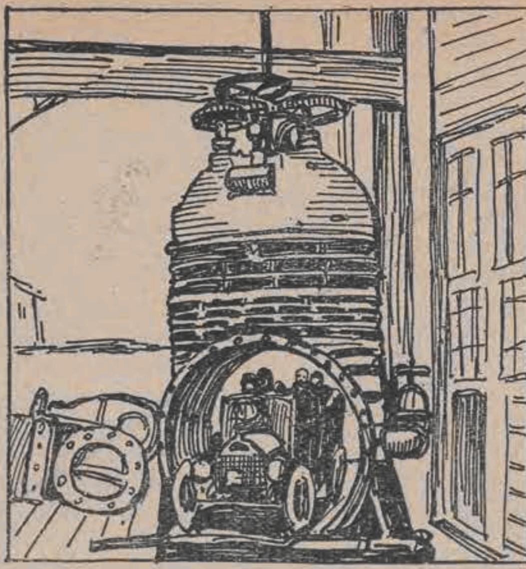


Kontrola prądu elektrycznego.

niu poziomem *b*. Gdy siła prądu zostaje przekroczona, pręt w naczyniu *a* podnosi się, wciągany przez umieszczony nad nim solenoid *s*, a wskutek tego rtęć z poziomego naczynia *b* spływa do pionowego *a* i prąd zostaje przerwany. Wskutek tego pręt opada, prąd się wznawia, poczem pręt znów się wznosi i t. d., co staje się powodem nieprzyjemnego migotania światła lamp, ostrzegającego o przekroczeniu maksimum siły. To przerywanie prądu, powtarzające się 60 razy na minutę, trwa dopóty, dopóki przez wyłączenie pewnej liczby lamp nie doprowadzimy siły prądu do dopuszczalnej normy. Rzecz jasna, iż aparat ten zastosowany być może równie dobrze do instalacji siły, jak i światła. Z powodu prostej konstrukcji znalazł on już zagranicą szerokie rozpowszechnienie.

Wentyle niezwykłej wielkości.

Wodospad Niagary stanowi, jak wiadomo, źródło siły, wyzyskiwanej w celach technicznych. Siła ta porusza już bardzo wiele maszyn. Niedawno założono znów 3 turbiny, z których każda dostarcza 12000 koni parowych. Turbinom tym dostarczana jest woda Niagary za pomocą rur o ogromnej średnicy, zamykanych i regulowanych wentylami, z których jeden przedstawia nasz rysunek. Jak wielkim jest taki wentyl, czyli zawór, sądzić można z tego, iż jak to widzimy na rysunku, przez jego otwór swobodnie przejeżdża samochód pięcioosobowy. Średnica zaworu wynosi $2^3/_4$ m., wysokość dochodzi do $9\frac{1}{2}$ metra. Zbudowany jest z żelaza lanego, obwód objęty jest ramą bronzową, w której przesuwać się może zasuwa, zamykająca otwór, a wykonana z lanej stali. Gdy zawór jest zamknięty na zasuwę tę, woda wywiera ciśnienie, wynoszące około ćwierci miljona kilogramów.



Wentyle niezwykłej wielkości. Samochód z łatwością przejeżdża przez wentyl.

Do otwierania i zamykania tego otworu zastosowany jest silnik, dający 15 koni parowych i wykonywujący swoją pracę w ciągu 3 minut. Jeden zawór taki waży 65 ton.

GINĄCY NARÓD.

Zbliża się już ostatni akt wielkiej tragedji, jednej z najdumniejszych ras. Amerykański indjanin stanowczo skazany jest na zgubę; stanął nad przepaścią w którą się stoczy niechybnie. Nie należy jednak przez to rozumieć, że odważnym synom puszczy grozi w niewiadomej przyszłości zupełne unicestwienie; przez ostatnie 30 lat, dzięki zabiegom i staraniom Zjednoczonego Rządu, liczba indjan zwiększyła się w przybliżeniu o 20% i od 1880 roku ludność wzrosła prawie o 100000 głów.

W trwającej już blisko 300 lat walce z chciwymi, bezlitosnymi i o wiele silniejszymi narodami, indjanie zostali zwyciężeni. I tylko dzięki temu nie wyginęli doszczętnie, że ich „biały brat" w końcu uprzytomnił sobie całą krzyczącą niesprawiedliwość swego stosunku do czerwonoskórych i na wielkiej przestrzeni, należącej niegdyś do indjan, odgrodził niewielki obszar, gdzie pozwolił im wegetować, nie troszcząc się zupełnie o to, z czego żyć będą.

— Cofajcie się! — oto jakie hasło rozbrzmiewało od chwili, kiedy biały stanął na ich ziemi, kiedy wyniszczył ich żywotność i wrodzoną energję wolnych synów przyrody, przez poznanie ich z wódką, tą rozkoszną trucizną, przez podkopanie ich zdrowego organizmu, za pomocą zakaźnych chorób. Kto nie żył pośród indjan, ten nigdy nie zdoła nabrać dokładnego wyobrażenia o ich obyczajach, zajęciach podczas pokoju i w czasie wojny. Współczesny genjusz wynalazczości w związku z niesłychanem udoskonaleniem techniki, pozwala, za pomocą fonografu i kinematografu utrwalać ludzkie słowa, gesty a nawet niekiedy całe fragmenty życia. I oto aby módz zostawić przyszłej ludzkości wymowny obraz życia ginących indjan, *Rodman Wa-*

nacker — syn „księcia kupiectwa amerykańskiego“ i wydawca jednego z najbardziej poważnych pism amerykańskich—zdecydował przedsięwziąć wyprawę do wnętrza krainy, zamieszkałej przez plemiona indyjskie. Na przewodnika wyprawy obrany został doktór I. K. Dickson, który już przez piętnaście lat zajmował się badaniem rasy indyjskiej, zyskując u czerwonoskórych przyjaźń i zaufanie. W swych zdobyczach naukowych posiada Dickson 1.600 doskonałych klisz fotograficznych i przeszło 16,000 metrów kinematograficznych film, poglądowo ilustrujących prawie każdy ważniejszy okres w życiu czerwonoskórych. Jednego tylko nie zdołał utrwalić. Oddawna już naczelnicy różnych plemion, sąsiadujących z sobą, albo połączonych węzłami pokrewieństwa, zbierali się na narady, podczas których omawiano kwestje tyczące się klęsk, jakie spadły na naród. Obrady tego rodzaju, t. zw. „Pau-Waus“ odbywały się nietylko w przededniu wojny z „blademi twarzami“ lecz i w czasie pokoju.

Ostatni pokojowy kongres indyjskich plemion odbył się w r. 1877. Potem życie zamarło, zabrakło nowych kwestji do rozpatrywania — i przez długie, długie lata nie zwoływano zgromadzeń. Naród wegetował bezczynnie, żyjąc ze sprzedaży pozostałej ojcowizny, co zabezpieczało w części byt materjalny.

„Utrwalić na kliszy kongres pokojowy!“ oto jaki był główny cel wyprawy Rodmana Wanackera.

Otóż okazało się, że *ostatni* wielki przegląd naczelników plemion indyjskich odbędzie się w dolinie rzeki Little Big Horn w Montanie, o dwie mile od krwawego pobojowiska, gdzie 25 lipca 1877 roku generał Caster został w okrutny sposób zamordowany przez plemię Siu.

Naczelnicy przybyli na zgromadzenie, w wspaniałych strojach wojennych. Przywieźli z sobą tomahawki, strzały, łuki i t. p.

Pomiędzy nimi rozsiedli się członkowie wyprawy amerykańskiej.

W ów cichy, letni poranek zebrało się 100 naczelników. Słup dymu, z ogniska rozpalonego na pagórku był sygnałem spotkania; wódz „Wielostronny“, naczelnik plemienia *Kro* wysłał do rozstawionych namiotów naczelników innych plemion — poselstwo — zapraszając ich na obrady. Z namiotów, rozstawionych po stronie północnej przybyli „czerwononodzy“ — z południa „apasze“, od strony wschodniej wojowniczy „siu“, z zachodu „kajuzowie“, „amultyltowie“ oraz naczelnicy całego szeregu pomniejszych plemion. W bogatym, jaskrawym rynsztunku wojennym, konno udali się do namiotu w którym miała się odbyć narada.

Droga wiodła pod górę.

Oto są już u celu. Związują razem lejce koni, poczem każdy składa głęboki ukłon i na brzuchu czołga się do namiotu, gdzie go uściskiem dłoni wita wódz „Wielostronny“. Nie mówią do siebie ani słowa. Pochodzi to stąd, że należą do różnych plemion, mówiących różnymi djalektami.

Wódz „Wielostronny“, zwraca się do nich, „przemawiając“ zrozumiałą dla wszystkich mową mimicznych gestów. Wyjaśnia cel zgromadzenia. Tłumaczy im, że Amerykanie pragną utrwalić na zawsze widok ostatniego indyjskiego kongresu, ostatniego wielkiego przeglądu i że przez to przechowa się wieczyście tradycja obrad dla *„dzieci i dzieci ich dzieci“*. Każdy pragnący cośkolwiek rzec, daje znak przewodniczącemu, poczem wstaje i mówi. Niektórzy wyrażają się za pomocą ruchów mimicznych, inni posługują się niekiedy słowami.

Żona czarnonogiego Indjanina „Wilczy włos“ i dwie dziewczyny z plemienia „czayen“, odziane w narodowe stroje, przynoszą na drewnianych talerzach mięso i rozdają je obecnym za pomocą drewnianego widelca. Tymczasem „Wielostronny“ nabija dwie fajki, zapala je i zaciągnąwszy się dwa razy, jedną oddaje sąsiadowi z prawej strony, a drugą — sąsiadowi z lewej. Jednocześnie mówi im, że teraz powinien zapanować pokój po wieczyste czasy, nietylko między plemionami, ale także z białymi. Naczelnicy wstają, w milczeniu żegnają się z sobą mocnemi uściśnieniami rąk i zamieniają między sobą wieloznaczące spojrzenia. Dosiadają koni; tu i owdzie ciągną konne kawalkaty zdążające w daleką drogę ku rodzimym *wigwamom*. Wązką ścieżką jedzie samotny Indjanin — niepostrzeżenie wstępując w mrok wieczności.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“. Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Glisczyńska.
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.